

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 29 maja 1960 r.

Nr 21 (117)

Cena 1 zł

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

PANIE, PANOWIE



O CO CHODZI?



Tak zwane podsumowanie dyskusji o młodzieży wydaje się nam zarówno niemożliwe jak i niecelowe. Cała ona dotyczyła wycinka problemu. Z kolei każdy z dyskutantów podejmował jakiś wycinek tego wycinka i w swych przemyśleniach przedstawiał rację cząstkową. Streszczenie tego, co już zostało wypowiedziane, utrudziłoby Czytelnika. Rozważanie, czyja racja była pełniejsza i bardziej wielostronna, czyja zaś nazbyt jednostronna i mniej odkrywcza, wylawianie sformułowań i myśli, z którymi „podsumowujący” nie chce się zgodzić — byłoby przedsięwzięciem zakrawającym na tzw. ustawianie.

Dlatego postanowiliśmy dyskusję zakończyć (niezamykając wszakże łamów pisma przed ważką tą i ciekawą problematyką) kilkoma uwagami. Wedle mniemania redakcji warto je dorzucić mimo, iż znów są fragmentaryczne i znów jak najbardziej dyskusyjne, co zważywszy kategorię tematu rozumie się samo przez się.

Po co szatan wymyślił kawiarnie?

Naszą „Dyskusję o młodzieży” rozpoczęły szkice opisujące proces wykołajania się pewnych grupek młodzieży. Potem wskazywano na zależność przypadków tzw. „staczenia się” od środowiska domowego delikwentów. Ta współzależność jest względnie ciekawsza od innych. Takie czynniki jak kształt szkoły, ogólny poziom materialny społeczeństwa, społeczne i idee, klimat, w którym żyjemy, ogólne stosunki międzyludzkie, system dążeń i przekonań rozmaitego gatunku — wpływają na całą młodzież, stanowią jakąś oddziaływującą stałą, natomiast środowisko domowe jest zawsze konkretne, indywidualnie zmienne.

Jeśli dziecko prostytutki i bandyty staje się prostytutką lub bandytą, to jest to sprawa dla nas nieciekawa. Między przyczyną i skutkiem zachodzą tu najprostszymi związek. Środki zaradcze nie wynikają z teoretyzujących rozważań publicystycznych, lecz z praktycznej działalności pedagogicznej i administracyjnej. Ewentualne namawianie taty-bandyty, żeby przestał być bandytą, czy mamy-prostitutki, żeby przestała być prostytutką nie ma sensu z uwagi na wysoką cenę papieru gazetowego.

Jeśli dziecko rodziców, którym jest ono obojętne zaczyna żyć w niezgodzie z moralnością społeczną lub prawem karnym, to zachodzi tu sytuacja podobna, jak poprzednia. Nie mam nawet zaufania do „wstrząsania su mieniami, jako, że jakie a nie inne postępowanie rodziców nie wynika z ich nie wiedzy dotyczącej skutków, jakie może przynieść, ale z faktu, iż czynią tak wbrew swej wiedzy na ten temat. Częste są zresztą wypadki, kiedy rodzice chciwie wychwytyują nie takie znów straszne występek swoich dzieci, żeby podać je do sądu, żeby pozbyć się kłopotu, żeby kto inny się martwił.

Najciekawsza jest sprawa dzieci z tzw. normalnych domów, dzieci, rodziców starających się dobrze wychowywać, a których latorośle mimo to trafiają do kartotek milicyjnych. I oto ośmielę się twierdzić, że bardzo często proces wykołajania do-

konuje się nie dlatego, że dom nie wychowywał, że nie starano się, że nie chuchano, że nie pilnowano, że nie przekonywano, ale między innymi na skutek tego właśnie, że dom wychowywał, że starano się, że chuchano itd.

Sens tego paradoksu wypunktuję następująco:

Dziewczyna. Rodzice są robotnikami, urzędnikami, nauczycielami — wszystko jedno. Dziecko swoje wychowują i oszczędzają mu troskę materialnych. Dziewczyna — przypuśćmy szesnastoletnia — przejawia normalny pęd do dorosłości. Jest to prawidłowość żelazna i odwieczna wieki przejściowego. Dorosłość oznacza pełnię życia, często, co jest naturalne, dosyć powierzchownie rozumiana. Sama dążność spleciona jest z równie naturalnym subiektywnym przekonaniem o swojej dorosłości.

Rodzice z zasady stają przeciw tej dążności. I dlatego, że ona sama w sobie niesie w ich pojęciu antywychowawcze niebezpieczeństwa i dlatego, że wszelkie konkretne przejawy, znamiona i rekwizyty tej dążności — znajdują się w kolizji z pamiętanym przez nich, ich własnym modelem wyrostka sprzed iluś tam lat.

Zaczynają się konflikty, że dzinsy, że szminka, że kawiarnia, że chłopcy odprawdzają, że szpilki, że fryzura taka a nie siaka. Rodzice klarują dziewczynie, że wszystkie te rzeczy są ze swej istoty amoralne (!). Występują wobec niej z pożądanym katalogiem zakazów.

Dziewczyna, wbrew temu co się myśli i mówi, akceptuje poglądy na kwestię moralności swoich rodziców. Nikt jej przecież nie mówił: „Twoi rodzice nie mają racji, ich poglądów na temat moralności nie musisz przyjąć”.

Dalszy ciąg na str. 7

DZIŚ
W
NUMERZE

- Politycy w generalskich mundurach — str. 2
- Zdemaskowanie „Rudowłosej” — str. 4
- Domejko i Dowejko (w odpowiedzi „Nowej Kulturze”) — str. 4
- Krucjata przeciwko reformie rolnej — str. 5
- Plutonowy Kwiatek w akcji — str. 9

Nowe oblicze kary

W ozerwcu bieżącego roku zbiera się w Londynie Międzynarodowy Kongres Penitencjarny. W Kongresie tym, organizowanym pod auspicjami ONZ, weźmie również udział Polska.

Teoria włoskiego psychologa i prawnika, Cezarego Lombroso o „urodzonym przestępcy” fatalnie zaciążyła nad rozwojem myśli penitencjarnych i praktyki więziennej w okresie międzywojennym. Zwolennicy tej teorii świadomie rezygnowali z wychowania i przystosowania do życia w społeczeństwie pewnej kategorii tzw. „trudnych przestępców” — recydywistów psychopatów, dla których tworzono więzienia — mogiły. W Polsce słynne było ciężkie więzienie na Świętym Krzyżu, we Francji podziemia Marsylii. Kara pozbawienia wolności stanowiła narzędzie brutalnej represji, znęcania się i „białego terroru”. „Trudnych przestępców” dziesiątkowały epidemie rozmaitych chorób.

Ten antyhumanistyczny sens teorii Lombroso o „urodzonym przestępcy” wzbudził nie tylko odruchy protestu, ale skłonił do śmiałojszych umysłów do lansowania nowych kierunków w więziennictwie. Dość powiedzieć, że więziennictwo USA, ZSRR, Francji rozwinęło u siebie szeroko psychoterapię grupową (korygowanie spaczonych osobowości przestępcy); bramy więzienne przekroczyli naukowcy: psychologowie, medycy i prawnicy, zapoczątkowując badania kryminalno-biologiczne przestępców. Stworzyły one podłoże pod rozkwit tzw. systemu progresywnego wychowawczego, którego narodziny sięgają połowy ub. stulecia.

System progresywny z czasem stał się skuteczną przeciwwagą teorii Lombroso i dziś święci triumfy prawie na całym świecie. W istocie

rzeczy wprowadził on „za żelazną kratę” zmiany brzmienne w następstwa, dzieląc przestępców na grupy, podgrupy, kategorie wg rodzaju przestępstw, wieku, cech indywidualnych charakteru itp. oraz na trzy lub cztery zasadnicze klasy. Progresywne przechodzenie więźnia z klasy niższej do wyższej oraz uzyskanie przedterminowego zwolnienia uzależnione jest od wyników w nauce i pracy, jego sprawowania się i zdyscyplinowania. Ma więc stanowić zachętę do pracy nad sobą i poprawy.

Zrywając ze złym dziedzictwem okresu międzywojennego więziennictwo Polski Ludowej dostosowało system progresywny wychowawczy do założeń socjalistycznego humanizmu. Postawiono sobie za cel redukcję i resocjalizację przestępców, nawet tych najtrudniejszych, w warunkach więziennej izolacji i zbiorowego odosobnienia. Do osiągnięcia tego celu wiedzie droga żmudnych eksperymentów, poszukiwań naukowych i „szlifowania” metod wychowawczych.

Spróbujmy dokonać bilansu tego, co się już zrobiło i tego, co się robi w więzieniach. Przede wszystkim uległ znacznemu zróżnicowaniu profil więzień, które obecnie dzielą się na zamknięte dla recydywistów i długoterminowych, półotwarte — ośrodki pracy dla więźniów z wyrokami do lat 3 i więzienne kolonie rolne dla więźniów krótkoterminowych, związanych z rolnictwem.

Nowe zarządzenie Ministra Sprawiedliwości z b. r. — zobowiązuje do przestrzegania

runków pomieszczeniowych przebywają bądź to w odrębnych zakładach karnych, bądź na specjalnych oddziałach.

Zakład dla psychopatów w Świeciu i oddział dla psychopatów w Rawiczu rozwijają terapię pracy i zapo-



zasad segregacyjnych więźniów wg rodzaju przestępstwa, dokonania czynu z winy umyślnej lub nieumyślnej, napięcie zlej woli itp.

Również projekt ustawy o więziennictwie szeroko obecnie dyskutowany w kołach prawników precyzuje zasady segregacyjne, doniosłe z punktu dydaktyki więziennej, gdyż zapobiegają one demoralizacji i tworzeniu się w więzieniach „szkółek przestępczych”. Projekt otwiera rozległe pole przed eksperymentami w dziedzinie nauczania i terapii pracy, kształtowania form samorządu więziennego oraz tzw. samowychowania się więźniów, postulując otwarcie zleńców światła dla przemysłowej i możliwej do praktycznego zastosowania inicjatywy wychowawczej.

Trzeba powiedzieć, że z inicjatywy tej wykluczo się wiele cennych i wartościowych praktycznych pomysłów, które stały się bądź też stopniowo stają się faktem dokonania. W centralnych więzieniach nr 1 i nr 3 w Warszawie powstały placówki naukowo-badawcze złożone z lekarzy, wychowawców i psychologów, które zajmują się ustalaniem cech osobowości przestępcy i wystawiają władzom więziennym odpowiednie zalecenia segregacyjne. Z ogólnej liczby więźniów stale wyodrębnia się psychopatów i więźniów młodocianych, którzy w zależności od istniejących wa-

czątkową psychoterapię grupową; więzienia dla młodocianych w Ilawie i Bojanowie mają dobrze pracujące organa samorządowe; kółka zainteresowań i przywieźlane szkoły zawodowe.

Niemal przy wszystkich więzieniach karnych istnieją przedsiębiorstwa obróbki drewna i metali, które zatrudniają więźniów na zasadzie 25 proc. odpłatności za pracę. Każde więzienie ma izbę chorych lub szpital, a w więzieniach kobiecych w Grudziądzu i Fordonie istnieją żłobki dla dzieci, których matki odsiadują wyrok. W Ośrodku Pracy Więźniów w Legnowie, k. Bydgoszczy i w więzieniu dla długoterminowych w Strzelcach Opolskich wprowadzono po raz pierwszy w dziejach więziennictwa polskiego eksperyment seksualny, zapobiegający rozbięciu małżeństwa i degeneracji, o którym piszę w następnym numerze „Odgłosów”. W więziennej kolonii rolnej w Mrowinach powstała szkoła przysposobienia rolniczego. Zwiększa się liczba więźniów bez krat gdzie „pensjonariusze” pracują na wolnym powietrzu nieraz bez konwoju, zdobywają kwalifikacje zawodowe i w pewnym sensie pozbawiają się starych nawyków. Statystyka uciełek przedwina się tu znikomo. — Po cóż uciekać — wyjaśnił mi więzień A., skoro człowiek może wyuczyć się zawodu,

zarobić kilka „groszy” i żyć przyjaźnie z władzą.

Na specjalną uwagę zasługuje akcja samowychowania więźniów oraz rozwijanie tzw. opieki postpenitencjarniej. Trybunał a zarazem instrumentem akcji samowychowania są radiowęzły i obiegowa prasa więzienna.

W więzieniach karnych i śledczych wychodzi drukiem ponad 35 periodyków redagowanych przez więźniów dla więźniów. Niektóre z nich jak np. dwutygodnik „Prześwit” w Strzelcach Opolskich, czy „Głos Więźniów” w Opolu, przekraczają nakład 500 egz. zawdzięczając swoją popularność nie tylko starannej szacie graficznej, ale i żywym, pisarzem z pasją artykułom, które poruszają tak istotne tematy w życiu więziennym, jak utrzymanie czystości w celi, niesolidaryzowanie się z chuligańskimi wycieczkami więźniów — rozrabiaczy, rozwijanie czytelnictwa dobrych książek i samokształcenia.

W akcji samowychowania więźniów biorą udział radiowęzły, zespoły artystyczne — satyryczne i organa samorządu więziennego. Byłaby to jednak akcja niecelowa, gdyby nie pozostawała w ścisłym związku z opieką więzienną i postpenitencjarną. W Legnowie i Strzelcach Opolskich za zgodą naczelników więzień powstały kasy koleżeńskie pomocy więźniów. Więzień członek kasy lub jego rodzina znajdująca się w trudnych warunkach materialnych może zaciągnąć najwyżej kilkaset zł pożyczki, którą później musi spłacić. Społeczne znaczenie kasy polega jeszcze na tym, że nadrywa więzy solidarności przestępczej, gdyż więzień biedniejszy nie potrzebuje zabiegać o względy więźnia bogatszego, aby uzyskać odeń trochę gotówki na „wypiszkę” artykułów żywnościowych.

Kontynuacją opieki nad więźniem jest opieka postpenitencjarna. W większych więzieniach sprawują ją specjaliści urzędniczy, a na zewnątrz poza murami więziennymi Polski Komitet Pomocy Społecznej. Do zakresu opieki postpenitencjarniej

wchodzi takie czynności, jak wyposażenie więźnia zwolnionego z więzienia w odzież i bilet na drogę, udzielenie mu pomocy w znalezieniu pracy i dachu nad głową. Chociaż opieka ta nie zawsze zdaje praktyczny egzamin wobec różnych trudności biurokratycznych czy też z braku środków finansowych, można je uważać za nieodzowne uzupełnienie i sfinalizowanie więziennej redukcji ponieważ dopomaga b. więźniowi wejść na nową drogę społecznego współżycia.

Eksperymentowanie w więziennictwie jest rzeczą niezmiernie trudną ale i konieczną. Postronni ludzie nie obeznani z tą problematyką, gotowi są w eksperymentowaniu widzieć „holubienie i głaskanie” przestępców, którzy więzienie rzekomo poczytują za sanatoria. Zapominają ci ludzie o tym, że kara jako dolegliwość i obowiązek poddania się przymusowi izolacji oraz porządkowi regulaminowemu utrzymana jest nadal w mocy; a jej nowe oblicze ma swoje uzasadnienie społeczne, gdyż celem kary w pojęciu społecznym nie jest zastraszenie białym terrorem i „mogiłą” lecz dokonanie takiej zmiany w osobowości przestępcy, która sprzyjałaby jego powrotowi do uczciwego życia. Społeczny cel kary nie zawsze jest osiągalny przez więziennictwo wciąż jeszcze borykające się z brakiem wykształconych kadr i odpowiednich pomieszczeń gdzie można byłoby rozwijać nowe formy pracy wychowawczej.

Godzi się o tym wszystkim pamiętać zwłaszcza w przededniu Międzynarodowego Kongresu Penitencjarnego.

**Za tydzień:
Eksperyment
„S”
(seksualny)**

LONGIN

PASTUSIAK

Politycy

W

generalskich mundurach

Na przyjęciu w Ambasadzie czeskosłowackiej w Moskwie komentując incydent z amerykańskim samolotem szpiegowskim premier Chruszczow powiedział, że nie rozumie, co to jest za rząd, który nie wie, co robi soldateska. Była to odpowiedź na wyjaśnienie Departamentu Stanu, który oświadczył, że nie był powiadomiony o wystaniu samolotu U-2 na terytorium Związku Radzieckiego.

Koła wojskowe USA tradycyjnie już w okresie powojennym są ośrodkiem tak zwanej „twardej” polityki wobec ZSRR. Gdyby tylko były ośrodkiem, ale gdzieś tam. Czynią wszystko, aby wpłynąć na Departament Stanu, aby przywrócić atmosferę zimnej wojny, kontynuować wysiłki zbrojeń i torpedować wszelkie próby for-



(„The Role of the Military in American Foreign Policy”) Autorami są dwaj znani teoretycy dyplomacji amerykańskiej Burton Sapin i Richard C. Snyder. Są to wybitni znawcy problemów polityki zagranicznej USA, a wiele z ich prac zdobyło sobie pozycję cenionych podręczników na wydziałach nauk politycznych uniwersytetów amerykańskich. Temat więc został opracowany przez znawców i chociażby z tego względu już zasługuje na uważne potraktowanie.

W sześciu rozdziałach autorzy omawiają między innymi następujące zagadnienia: organizacje wojskowe do spraw

utrzymywana w maksymalnych rozmiarach i nigdy nie odgrywała roli „jedynego obrońcy kraju”.

W ostatnich latach sytuacja uległa radykalnej zmianie. Najważniejszym powodem, jak stwierdzają autorzy, jest współzależność („interdependence”) polityki zagranicznej i wojskowej. Wynika to stąd, że celem polityki zagranicznej jest obrona interesów kraju. Najważniejszym zaś interesem jest zapewnienie bezpieczeństwa przed rzekomo nieuniknionym niebezpieczeństwem, które grozi Stanom Zjednoczonym. Autorzy jednak silnie podkreślają, że nawet w takiej sytuacji polityka zagraniczna powinna być „przewodnikiem” polityki wojskowej, a „polityka i technika wojskowa nie powinny stać się celem dla siebie”. Koła wojskowe nie powinny określać, zdaniem autorów, polityki kraju.

Jeden z rozdziałów książki poświęcony jest całokształtowi instytucjom i komórkom organizacyjnym o charakterze wojskowym, które mogą uczestniczyć w podejmowaniu decyzji politycznych. W Departamencie Obrony np. jeden z pomocników sekretarza obrony zajmuje się takimi sprawami jak traktaty i porozumienia międzynarodowe, pomoce dla zagranicy, problemy międzynarodowego bezpieczeństwa itp.

Również szefowie połączonych sztabów (Joint Chiefs of Staff) nie gardzą możliwością wpływania na akcje dyplomatyczne Departamentu Stanu. Na str. 28 znajdujemy zmienną wypowiedź ówczesnego szefa połączonych sztabów generała Omara Bradleya: „Trzeba pamiętać — i o tym my członkowie po-

łączonych sztabów przypominały sobie — że polityka wojskowa i jej plany strategiczne nie są inne od naszej polityki zagranicznej. Obie polityki są właściwie częścią ogólną polityki zapewnienia bezpieczeństwa naszemu narodowi”.

Autorzy wysuwają trzy główne zarzuty w stosunku do Joint Chiefs of Staff. Po pierwsze — szefowie sztabu starają się być czymś więcej niż jedynie doradcami. Po drugie — za dużo zajmują się sprawami... niewojskowymi. Po trzecie — panowie generałowie wymykają się wyraźnie spod kontroli władz cywilnych, starając się coraz bardziej niezależnie.

W najdłuższym rozdziale książki: „Military participation in Foreign-Policy-Making” B. Sapin i R. Snyder analizują pośredni i bezpośredni udział elementów wojskowych w formułowaniu amerykańskiej polityki zagranicznej. O roli Departamentu Obrony i JCS już wspomnieliśmy. Warto dodać tylko, że obydwie instytucje biorą udział w posiedzeniach Krajowej Rady Bezpieczeństwa, która jest najwyższym organem doradczym prezydenta do spraw „formułowania polityki zagranicznej w świetle aktualnego stanu obronnego i możliwości militarnych USA”. Na posiedzenia zapraszany jest szef Central Intelligence Agency (wywiad amerykański z Allanem Dullem na czele), który reprezentuje raczej wojskowy punkt widzenia. Zdaniem autorów wojskowi mają dwie funkcje: ekspertów — kiedy w raportach, analizach i zaleceniach wykorzystują swoją wiedzę fachową i funkcję reprezentacyjną — kiedy bro-

nią interesów swego resortu tzn. Departamentu Obrony lub innej instytucji wojskowej. Niestety, zauważają Sapin i Snyder, wojskowi lubią odgrywać raczej tę drugą rolę, narzucając w sposób bezwzględny swój punkt widzenia. Wykorzystują oni słabość przedstawicieli personelu cywilnego, którzy pozbawieni wiedzy fachowej i wojskowego sposobu myślenia łatwo ulegają opiniom generałów.

Ludzie w mundurach biorą czynny udział w opracowywaniu wspólnych raportów i zaleceń w Departamencie Stanu, które następnie przedkładane są prezydentowi.

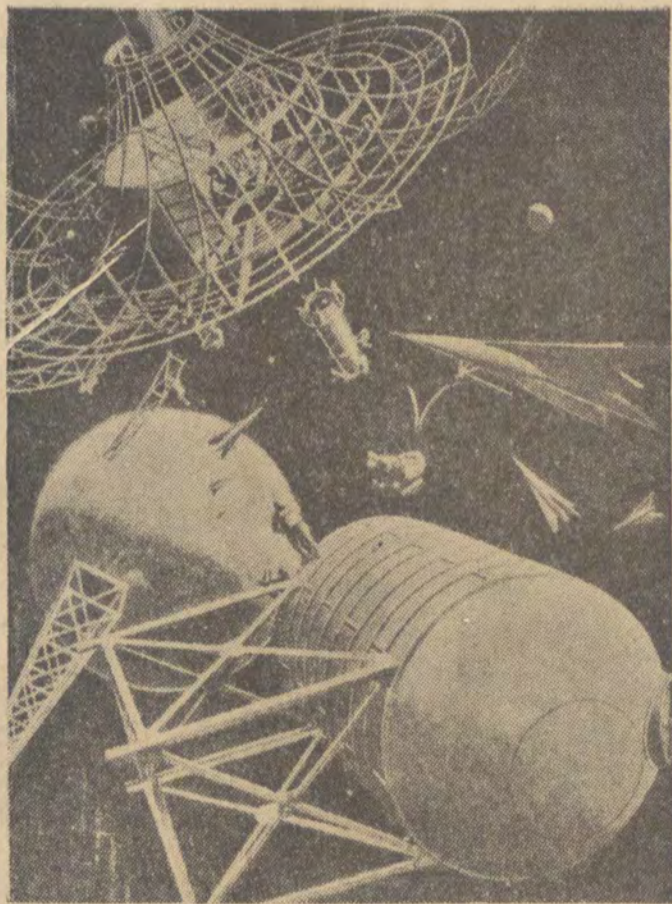
Wyżsi oficerowie odgrywają bardzo poważną polityczną rolę w misjach wojskowych, w bazach zagranicznych i w komisjach różnych paktów wojskowych. Dowódca NATO general amerykański jest również osobistością polityczną i dyplomatyczną. Jego oświadczenia są przyjmowane przez prasę nie z mniejszą uwagą niż wypowiedzi któregoś z ministrów spraw zagranicznych. Nic więc dziwnego, że dla wielu generałów wcale nie było trudno zmienić mundur na frak dyplomatyczny. General Marshall został nawet sekretarzem stanu. Lista generałów na stanowiskach dyplomatycznych wyszłaby daleko poza ramy niniejszego artykułu.

Generalowie są częstymi

*) Burton M. Sapin i Richard C. Snyder, „The Role of the Military in American Foreign Policy”, Doubleday & Company Inc Garden City, New York.

Generalowie są częstymi

Generalowie są częstymi



Budowa Stacji Kosmicznej

czasu obdarzeni byli duchem „proroczym”.

Z pewnością marzenia współczesne są bliższe prawdy niż dawniejsze. Wystarczy poszperać nieco w literaturze popularno-naukowej i naukowej. Prof. dr Wasyl Fieslenkow zapowiada bliskie wysłanie człowieka w Kosmos. Prof. dr Eugeniusz Flodorow potwierdza tę tezę, dodając że uczeni radzieccy stworzyli już aparaturę zabezpieczającą podróż i powrót człowieka na Ziemię. Przed tym jednak pierwszym lotem należy przeprowadzić jeszcze szereg prób. Jedną z poważniejszych jest ostatni lot sputnika-światła, który powinien rozwiązać cały szereg problemów naukowo technicznych. Prof. G. Rozenberg oświadcza, że radziecki statek kosmiczny jest pierwszym z serii sputników, które mają pozwolić na wylot człowieka w Kosmos. Ten cztero i półtonowy pojazd szybujący dookoła Ziemi może być słusznie nazwany „Gwiazdą nadziei”.

Jesteśmy o krok od naj-



SANATORIA W KOSMOSIE

Biorę do ręki jedną z ostatnich powieści fantastycznych, której autorem jest profesor biochemii Isaac Asimov. Akcja rozgrywa się w Nowym Jorku dalekiej przyszłości. Ludzie tego czasu nazywają naszą, współczesną epokę średniowieczem. W istocie dla nich jest to wczesne średniowiecze, gdyż znajdujemy się dopiero w przededniu wysłania człowieka w Kosmos. Jeden z dwu bohaterów, którzy mają rozwikłać zagadkę tragicznej śmierci dr Sartona, „kosmity”, mieszkanca światów ziemskich, jest człowiekiem, drugi zaś... robotem, który posiada wszystkie zewnętrzne cechy człowieka, mówi i jest obdarzony niezwykłą inteligencją. Przyznając świat przedstawiony w powieści jest ponury. O wiele bardziej nieciekawym, schematycznym, zautomatyzowanym, bezbarwnym niż świat dzisiejszy. Trzeba stwierdzić, że w tym

świecie przyszłości, widziannym oczami amerykańskiego pisarza, najgorzej wychodzi sprawa społeczna. Nieciekawym jest społeczeństwo pokratkowane i poklasyfikowane surowiej niż kasty indyjskie. Czyżby z rozwojem cywilizacji następował powrót do starych, feudalnych formacji społecznych? Trudno tu się ustrzec od wulgaryzowania. Ale może ten świat dlatego jest tak smutny, że jego wizja wychodzi spod pióra pisarza żyjącego w klimacie, który daje takie a nie inne przesłanki rozwoju ludzkości?

Jednakże pierwsza rzecz, jaka uderza w tej książce, to niezwykła wprost wizja cywilizacji przyszłości. Owo spojrzenie w przyszłość jest niewątpliwie spojrzeniem człowieka obdarzonego nie tylko fantazją, ale obecną także ze współczesną wiedzą. Napewno niejedno ze zjawisk opisanych w książce znajdzie swoje późniejsze odbicie w przyszłej rzeczywistości. Będzie wtedy można mówić, jak dziś mówimy o pisarzach starożytności i średniowiecza, że poeci i pisarze tego

większej sensacji świata. Wkrótce człowiek wyruszy w Kosmos. Pozostawi za sobą Ziemię z jej baśniami i kłec dami o kryształowych kulach. Nie będziemy w tej chwili snuć marzeń na temat, jak będzie wyglądała ta pierwsza podróż. Co spotkamy na tych światach? Jakie cywilizacje? Czy sprawdzi się hipoteza de Fontenelle'a, który już 1686 roku pisał, że wszystkie planety są zamieszkałe? Próby odpowiedzi znajdujemy w licznych powieściach i wy- nurzeniach naukowców.

Spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, jakie pierwsze korzyści odniesiemy z podbicia Kosmosu. Posłuchajmy, co na ten temat powiadają uczeni. Wielu z nich utrzymuje, że budowa stacji kosmicznych będzie jednym z pierwszych osiągnięć astronautyki. Historia sputników radzieckich zdaje się potwierdzać to przypuszczenie. Arthur C. Clarke powiada, że najważniejszą może zaletą stacji kosmicznych będzie możliwość stosowania wskutek braku ciężenia teleskopów nieogra-

niczonej wielkości. Pomińmy tu skomplikowany wykład techniczny. Stacje kosmiczne spełniać będą mnóstwo zadań. Umożliwią nam wykrywanie planet, których nie można dojrzeć za pomocą żadnych przyrządów z Ziemi; umożliwią doskonały, najczystszy odbiór radiowy i telewizyjny; ułatwią prace badawcze fizyków nad promieniami kosmicznymi; wpłyną na rozwój meteorologii, która już nie będzie wydawać pytyjskich komunikatów o pogodzie; będą spełniały rolę „gwiazd-przewodniczek” łączy na dalekich oceanach; będą ponadto pełniły funkcje sanatoriów leczniczych i „domów czasowych”.

powierzchni Ziemi tajemnicze promienie kosmiczne. U nas w Łodzi bada te sprawy zakład pod kierunkiem doc. dr Aleksandra Zawadzkiego. A ile jeszcze istnieje tajemniczych rodzajów promieniowania czy zjawisk „ukrytych poza zasięgiem naszych zmysłów”? Nie wiemy. I nie wiadomo, czy je ze względu na ograniczoną naszą zmysłów poznamy. Może dowiemy się o nich od naszych nieznanych współbraci, zamieszkujących światy, o których teraz jeszcze nic nie możemy powiedzieć.

gośćmi na Kapitolu. General Mac Arthur, który w czasie konfliktu koreańskiego koniecznie chciał bombardować terytorium Chin, za co został odwołany, po powrocie do USA wygłosił przemówienie na wspólnym posiedzeniu Izby Reprezentantów i Senatu. General bronil swych poglądów, ostro krytykował rząd Trumana za to, że... uniknął możliwości III wojny światowej. Nie ma dnia, w którym generalowie nie wygłaszałyby politycznych przemówień w klubach, telewizji, na uniwersytetach, na zebraniach partyjnych itd. Pomyśleć, piszą profesorowie Princeton, że wszystko to dzieje się wbrew regulaminowi armii amerykańskiej, który zakazuje wojskowym brać udział „w działalności na wiecach politycznych, komisjach politycznych, wygłaszaniu politycznych przemówień, publikowaniu artykułów i wszelkiej takiej działalności, która by mogła wpłynąć na wynik wyborów lub taki czy inny podział głosów”.

W końcowej części autorzy opowiadają się za bezwzględny podporządkowaniem się autorytetowi wojskowego władcy cywilnej. „Główne niebezpieczeństwo” w naszym kraju ze strony kół wojskowych polega nie na możliwości dyktatury wojskowej, ale na możliwości niewłaściwego zastosowania ich opinii i zaleceń”. Autorzy są zdania, że konstytucyjne gwarancje cywilnego zwierzchnictwa nad wojskiem oraz tradycyjna nieufność do autorytetu w mundurach wśród społeczeństwa pozwala na optymistyczny nastrój, który nie powinien być jednak pozbawiony czujności.

LONGIN PASTUSIAK.



Baza na Księżycu



Statek Kosmiczny na Księżycu

Oto jak według A. C. Clarke'a będzie wyglądać taka stacja: „Stacja kosmiczna z wyjątkiem krótkich kresów zaciemnienia przez Ziemię, będzie prawie nieustannie w słońcu, co może mieć bardzo duże znaczenie lecznicze. Równie dobrze powinien działać na pacjentów widok Ziemi wypełniającej część nieba i przechodzącej w ciągu paru godzin od nowiu do pełni. Niezwykła różnorodność krajobrazów i wielka ilość szczegółów widoczna na lądach i morzach oraz oglądane przez teleskop widoki znanych okolic, miejscowości, a nawet ulic w wielkich miastach, powinny dawać pacjentom dużo wrażeń...”

Pomińmy, że jest to opis sprzed kilku lat. Niemniej jaką perspektywę odsłania przed czytelnikiem!

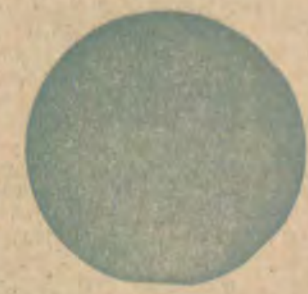
Wtedy naprawdę można się będzie tak czuć, jak mówi poeta, kiedy przechyleni przez „poręcz czasu i przestrzeni” „w mierzający pył gwiazd” będziemy patrzeć z góry. Ale uczeni już teraz przewidują, że w przyszłości „nauczymy się zmieniać orbity planet, aby uzyskać pożądany klimat”. A więc — „ruszymy z posad bryłę świata...”

Jesteśmy dopiero u progu tajemnic. Im więcej będziemy poznawać, tym więcej będzie przed nami do poznania. Tym dalej będą przed nami uciekały granice Kosmosu. W ostatnich latach odkryliśmy na po-

Zmarły niedawno uczonej polski prof. dr Andrzej Soltan, twórca polskiej fizyki jądrowej, powiedział: „Fizyk musi pracować w ten sposób, by popełnić błąd o przyrodzie nieożywionej, a zastosowania w przyszłości zawsze się znajdują. Trzeba przypuszczać, że i to co się robi nawet w zakresie wielkich energii, w przyszłości da się wykorzystać dla dobra ludzkości”.

W ten sposób trzeba spojrzeć na żmudną, niewdzięczną z pozoru, niezrozumiałą dla „niewtajemniczonych” pracę naszych uczonych, fizyków, chemików, biologów. Poprzez tajemniczy dla laika rytuał uczonego człowiek poznaje przyrodę i Wszechświat.

TADEUSZ MARTYŃSKI



odgłosy str. 3

Rudowłosa (2)

PRACOWITA TRÓJKA

Ruth zażądała za „usługę” niebagatelną sumę... 40.000 dolarów. Ale ojciec był skromniejszy. Stwierdził, że wystarczy na „początek” 14 tysięcy, reszta zaś miała być wypłacona po zakończeniu zadania.

Przenieśli się więc z Honolulu do Pearl Harbour, gdzie mieszkała większość ich znajomych. Ruth zadysponowała by przenieść się wraz z nią i

ojcem jej młodszy brat, 10-letni Hans Joachim.

Szybko odbyły się zaręczyny pięknej wywiadowczyni z jednym z wyższych oficerów marynarki amerykańskiej. Do akcji wstępuje maly brat, który kręcąc się w niebieskim, marynarskim ubranku po porcie, wśród okrętów, łatwo nawiązywał znajomość z marynarzami. Wiadomo, przecież siostra tego malca jest narzeczoną oficera... A marynarze, jak to marynarze. Pokazywali

chłopcu cuda i cudenka na swoich okrętach.

Hans Joachim Kuehn był nieodrodnym synem swego ojca. Słuchał pilnie, obserwował uważnie i wszystko dokładnie opowiadał ojcu. Ojciec natomiast najczęściej przebywał w domu. Nie dlatego, żeby nie chciał, czy nie mógł wychodzić. Mieszkanie Kuehnów znajdowało się w okolicy Oahu, niedaleko portu. Z okien tego luksusowego domu można było świetnie obserwować ruch w porcie... A Ruth? Ta rozwinęła całą swoją sztukę uwodzieńską. Otoczona rojem wielbicieli w mundurach amerykańskich, uwieszona u boku narzeczonego — była niemalże w tym czasie „first lady” bazy amerykańskiej. Szeroko otwierały się przed nią drzwi najbardziej ekskluzywnych klubów i domów prywatnych. Bardzo często wydawano na jej cześć coctails i przyjęcia na stacjonujących w porcie okrętach, pancernikach i krążownikach. Przecież wkrótce będzie żoną naszego kolegi — mawiali oficerowie...

Do Tokio płynęły raporty. Ilość, standardy, typy, obsada ludzka — dane, przekazywane umówionym szyframi do japońskiego sztabu generalnego. Admiral Isoroku Yamamoto zacierał ręce. Informacje były pierwszorzędne. Rodzinka Kuehnów sprawiała się bardzo dobrze. A do tego znakomitym pomoceńnikiem okazał się... narzeczoną Ruth. Amerykanin bezwiednie tonął w aferze. Był tak zakochany w pięknej rudowłosej, która przesłaniała mu świat...

NA PIĘĆ MINUT PRZED DWUNASTĄ

Zaszyfrowana depesza z centrali wywiadu japońskie-

go przyniosła następującą dyspozycję: „Informacje nas szczególnie o miejscach zakotwiczenia okrętów wojennych w Pearl Harbour i przyległych obszarach. Bardzo pożądane byłoby zdobycie informacji o przewidywanych miejscach zakotwiczenia w dniu „X”, który poda wam specjalny łącznik”.

Rodzinka zakreśliła się przy robocie. Ustalono nowe sposoby porozumiewania się z Japończykami. Opracowano system świetlny, przy pomocy którego z dachu domu, w którym mieszkali Kuehnowie, przekazywano sygnały. Sygnały te odbierał konsul japoński Okuda i jego czwarty sekretarz, rezydujący w Honolulu. Wielokrotnie sprawdzono ten nowy system. Działał bez zarzutu. Amerykanie, nie spodziewając się napaści, nie stosowali poważniejszych środków ostrożności. Ruth zaś była poza zasięgiem obserwacji amerykańskiego kontrwywiadu.

Był dzień 30 listopada 1941 roku. Niedziela. Jak zwykle większość oficerów amerykańskich przebywała na weekendzie. Tego dnia Ruth udała się do gimnachu, w którym mieścił się sztab admirała Kimmela, by spotkać się ze swym narzeczoną, który pełnił dyżur operacyjny. Gdy narzeczoną w jakimś momencie oddalił się z gabinetu, Ruth błyskawicznie wykorzystała tę chwilę. Otwarta kasa pancerna była zbyt wielką pokusą...

Wprawne ręce szybko przetrzeły zgromadzone w kasie tektki z tajnymi dokumentami. Kilka spojrzeń i już zorientowała się, że oto ma w ręku dokument, mówiący o dyslokacji w dniu 7 grudnia... Tego wieczoru Ruth była szczególnie łaskawa dla swe-

go narzeczonego... A japoński sztab generalny mógł szczególnie zrekonstruować plan napaści na bazę w Pearl Harbour.

Nadszedł dzień 7 grudnia 1941 roku — dzień wielkiej klęski floty amerykańskiej w Pearl Harbour i wielkiego sukcesu Japończyków. Tragedia w Pearl Harbour dokonała się.

SIC TRANSIT GLORIA...

Był to jednak labędzi śpiew pięknej rudowłosej.

Gdy nad okrętami amerykańskimi pikowały bombowce japońskie, ślejąc zamęt i śmierć wśród zaskoczonych marynarzy i oficerów, Ruth wraz z ojcem korygowała sygnałami świetlnymi akcje napastników. W mieszkaniu Kuehnów wszystko było spakowane, gotowe do wyjazdu. Poprzednio bowiem już ustalono, że Ruth i jej rodzina opuszczą Pearl Harbour drogą podwodną. Japoński okręt podwodny miał ich oczekiwać w umówionym miejscu.

Przypadek jednak zdarzył, że wśród ogólnego chaosu, jaki powstał na skutek nieoczekiwanej napaści japońskiej, jeden z oficerów amerykańskiego wywiadu zauważył błyski świetlne, wychodzące z okien willi Kuehnów. Zarządzono rewizję domu. Nalot trwał jeszcze, płonęły statki, tonęły okręty — a w mieszkaniu Kuehnów znajdowano ciągle nowe dowody szpiegostwa. Ujawniono system świetlny, znalezione poważne ilości gotówki w rozmaitych walutach, dokumenty, szyfry, kopie radiogramów, kompromitującą korespondencję. Ruth i jej ojca aresztowano.

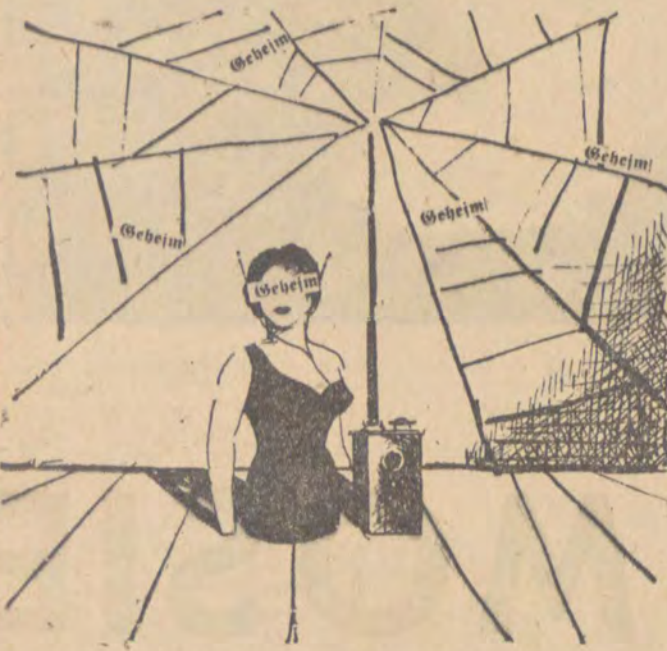
21 lutego 1942 roku przed

sądem wojennym stanął dr Kuehn. Wyrok mógł być tylko jeden — kara śmierci. I taki ogłoszono. Stary wyga szpiegowski — Kuehn próbował różnych sztuczek, byle uratować własne życie i nie dopuścić do postawienia Ruth przed sądem. Próbował „sympać”. Amerykanów to nie wzruszało. Nie chcieli angażować do pracy w swoim wywiadzie szpiega hitlerowskiego. Wreszcie ojciec Ruth zdecydował się ujawnić Amerykanom wszystko, co w swojej długoletniej praktyce szpiegowskiej wiedział o sprawach związanych z Pa-cyfikiem.

Jesienią 1942 roku zamieniono Kuehnowi karę śmierci na 30 lat więzienia. Zona dr. Kuehna, Ruth i jej młodszy brat zostali internowani. Starszy syn — Leopold, który wysługiwał się Goebelsowi zginął w czasie wojny. Starsza siostra Ruth mieszka dziś pod przybranym nazwiskiem w Los Angeles.

A Ruth i jej matka?

Zyją po dziś dzień w NRF. Zażywają wolności i dobrodziejstw rządu bońskiego. Nie prowadzą tylko salonu kosmetycznego...



Z ostatniego numeru „Nowej Kultury” dowiedzieliśmy się co słychać w naszej Łodzi. Głos zabrali tu tejsi Domejko i Dowejko, znani w naszym mieście satyrycy Jan Czarny i Jan Huszcza w artykule pt: „A co w Łodzi?”.

Najpierw kilka słów o postawie metodologicznej autorów. Pewien redaktor w następujący sposób ocenił tekst przysłany do redakcji: pana praca jest zła, jednakże znacznie lepsza niż mogliśmy się spodziewać, posiada same wady, trudno jednakowoż odmówić jej wielu zalet, do druku absolutnie nie nadaje się, ale postaramy się, aby pan nie czekał długo na publikację.

Na tej samej zasadzie oceniają nasi satyrycy sytuację twórców w Łodzi. Łódź nie jest pustynią kulturalną, ma uczelnie, wydawnictwo, radio, telewizję, prasę, ale twórcom „pozostaje samotne borykanie się z kompleksami, wzmagającym się z roku na rok poczuciem niepotrzebności i własnej małowartościowości, jeszcze innym — rezygnacją”. Wydawnictwo Łódzkie wydało niemal wszystko, co napisali ciekawego i nieciekawego łódzcy pisarze, wydobyło „z mroku” utalentowanych debiutantów, miasto ogłasza konkurs na powieść łódzką z dużymi nagrodami, a jednak twórcy „chcą być zauważani, chcą być miastu potrzebni. Ciągłe ich pomijanie lub choćby tylko lekceważenie — to stwarzanie w środowisku marazmu!”.

Na takich figurach logicznych zbudowali nasi satyrycy artykuł, poświęcony w gruncie rzeczy ocenianiu łódzkiej prasy. Czarny i Huszcza przypominają nam, że w Łodzi ukazują się dwutygodnik satyryczny „Karuzela”. Ołóż w tym piśmie „pracują utalentowani skądinąd karykaturzyści i

że często spotyka się w niej tzw. nazwiska, ale jak zawsze w takich wypadkach nie one podnoszą piśmo, ale piśmo — w którym przeważa jednak materiał anonimowy — ostudza ich inwencje”. Wystarczy tylko przejrzeć „Karuzelę”, aby stwierdzić, że materiał anonimowy wcale nie przeważa. Wynika więc z tego, że dobre pióra i utalentowani rysownicy obniżają poziom

Mazur, Pastusiak, Holub, Tarczyńska, Wróblewska, Panasewicz i reszta, której niesposób wymienić z braku miejsca — nie drukowali interesujących wierszy i to w rozmiarach znacznie większych niż to może zaproponować jakiegokolwiek inne piśmo w Polsce, nie drukowali felietonów poświęconych książce, ani recenzji teatralnych, filmowych, telewizyjnych, nie

wiali się nad problemami współczesnej młodzieży. Co gorsza, tę dyskusję tandetną i sensacyjną omawiała i przedrukowywała prasa krakowska i wrocławska. Obecnie, z okazji dyskusji o sporcie zamierzamy sprowadzić na manowce Dygata i Putramenta. W najbliższej przyszłości nasi czytelnicy będą mogli przekonać się, że używając wiadomych sobie sposobów zmusimy do

Nigdy nie było w „Dzienniku” pożytecznych, zrozumiałych recenzji i ocen rozmaitych wydarzeń kulturalnych. Bo ujmą jest zainteresowanie tego piśma sprawami oświaty: „Panorama” nie przyswoiła czytelnikom łódzkim ani odrobiny wiedzy z dziedziny współczesnej techniki, piśmo nie angażuje się w akcje obywatelskie na terenie naszego miasta.

Jan Czarny i Jan Huszcza domagają się otworzenia w Łodzi elitarnego piśma. To jedno wydaje się nam w ich artykule słuszne. Myślimy jednak, że nie łódzki „Przegląd Kulturalny”, ale miesięcznik wszystkich środowisk twórczych miałby głębszą rację bytu. Lecz czemu przy tej okazji odsądził od czci i honoru całą prasę łódzką, czemu nie dostrzegł w niej żadnych istotnych pozytywów? Czemu udzielając ojcowiskiej reprimendy „Odgłosom” za rzekomą napaść na rzeczywistość „ruchliwego działacza w mieście i regionie”, sami napadli na jednego z najstarszych dziennikarzy łódzkich? Dlatego, że w młodości pisał frywolne powieści, nie powinien dziś, po latach rzetelnej pracy, dostać oznaki honorowej miasta? Czyżby wspólnym interesem zbratani Janowie od kolebki pisali same genialne rzeczy?

Ale my tu, w Łodzi, gotowi jesteśmy wszystko zrozumieć. Wiadomo, satyrycy, wolno im pożartować, zakpić ze zdrowego rozsądku, stanąć przed białym i krzywym, że wszystko jest czarne. Winniśmy jednak naszym czytelnikom wyjaśnić, czemu tak poważne piśmo jak „Nowa Kultura” wydrukiowała ich artykuł na kolumnie spraw zasadniczych. Stało się zapewne tak dlatego, że tam, w Warszawie, oderwanej od reszty kraju, po prostu nie wiedza, że Jan Czarny i Jan Huszcza to znani satyrycy. I dlatego znaleźli się obaj poza kolumną satyry.

RED.

HOMEJKO i DOWEJKO



pisma. Prawdziwe to szczęście, że nie obniżają go Czarny i Huszcza lecz wszyscy pozostali satyrycy łódzcy — Sztadynger, Fijas, Safrin, Piechal, Sikirycki, Ryszard Marek, nie mówiąc już o pozalódzkich, jak Słobodnik, Samozwaniec, Brzeziński, Zechenter, Ożóg, Afanasjew, nie mówiąc już o Czechowie. Czarny i Huszcza nie współpracują bowiem z „Karuzelą”.

Z „Odgłosami” rozprawili się nasi satyrycy nieco inaczej. „Odgłosy” deprawują utalentowaną młodzież literacką „wyrabiają w niej zmysł polowania na tandetną sensację”. Tak więc nasi młodzi współpracownicy — Brycht, Sztajmert, Frejdlch, Wilmański, Krysiński, Brysz, Badziak, Machajko, Łoboda, Wawrzkiwicz, Waleńczyk, Giegier,

pokazali też w swoich reportażach wielu cennych inicjatyw kulturalnych. To nieprawda, że ci młodzi ludzie wyprawiają się na dalekie przedmieścia, wędrują po województwie. Oni zupełnie nie pokazują pracy naszych uczelni i naukowców, nie piszą o działalności kulturalno-wychowawczej ZMS, to nie prawda, że zyskali tysiące czytelników, gdyż mówią do nich zrozumiałym językiem o najtrudniejszych sprawach.

Czujemy się w obowiązku poszerzyć bezcenne uwagi Janów Czarnego i Huszczy. Zdeprawowaliśmy nie tylko młodzież. Tandetną sensację pokazali na naszych łamach np. lekarze, którzy dyskutowali sprawy służby zdrowia, podobnie wybitni działacze oświaty i wychowawcy, kiedy zastana-

produkcji pisarzy łódzkich starszego pokolenia — Piechala, Wl. Rymkiewicza, Fijasa, Sikiryckiego (on jest ze średniego pokolenia ale i tak mu nie przepuścimy) Dudzińskiego, Timofiejewa, i jeszcze innych.

Któż z tego pogromu ocalał? Ocalał nasz Domejko i Dowejko. Oni z „Odgłosami” nie współpracują, uważając słusznie, że co przeciwny łódzianin rozumie — to musi mieć niski poziom. Wybacz im panie, albowiem piszą o tym, czego porządnie nie przeczytali!

Bardzo złym piśmem jest również „Dziennik Łódzki”. „Nie dopisuje”. Drukuje „michałki” i wulgarnie artykuły o łódzkiej literaturze, lansuje trzeciordernych autorów kryminalistów. I znowu nas mylą nasze własne oczy.

Rzecz prosta, nasi dwaj satyrycy nie mają nic wspólnego z „Dziennikiem”, który specjalizuje się w rzucaniu inwektyw pod adresem twórców. Oni z „Dziennikiem” nie współpracują, są niepodlegli.

Nie będziemy już przytaczać oceny „Expressu Piastrowanego” wpisanej między wiersze. Wiadomo — „łania sensacja, komiks i kryminał”. Dodamy tylko, że i z tym piśmem nasi dwaj cenzorzy nie współpracują.

Uszło na sucho jedynie „Głosowi Robotniczemu”, który „usługuje niekiedy dostarczając problemy kulturalne miastu”. Sądźmy, że uszło mu na skutek dojrzałości ideologicznej obu satyryków. Omija się organ partii i już cała rzecz jest ideologicznie nienaganna.



Historia pewnego humbugu

JAN BABIŃSKI

Jesteśmy dziś, w roku 1960, świadkami prawdziwej krucjaty przeciw reformie rolnej. Rzecz dzieje się we wsi Gosławice pod Radomskiem. A bohaterami są — rodzeństwo Szczęśniewscy i niejaki Jędrysik.

Zdarzenia są zagmatwane, w wielu punktach wprost niejasne, ciągną się latami po licznych urzędach i zachaczą nawet o Ministerstwo. I co ciekawe, epilogu jeszcze nie znalazły.

Dobra gosławickie obejmowały przed wojną 165 hektarów ziemi ornej, łąk i pastwisk. Ich współwłaścicielami było rodzeństwo Szczęśniewskich oraz Emanuel Jędrysik, który drobną część majątku odkupił aktem notarialnym od Zdzisława Szczęśniewskiego w 1943 roku. Dobra zawsze stanowiły zamkniętą całość, były wspólnie użytkowane, prawem związane w niepodzielną hipoteczną jedność.

Powinny więc ulec parcelacji zaraz po wojnie. Ale już wtedy w 1945 roku, bracia Szczęśniewscy i Jędrysik ruszyli do ataku na nowe i niedoświadczone urzędy. Po długotrwałym natarciu, w którym operowano blagą i całym wachlarzem fałszywych danych, udało się im przekonać ówczesny Wojewódzki Urząd Ziemski że objęcie reformą rolną majątku ziemskiego Gosławice byłoby przegięciem, krzywą niesprawiedliwością. Czas zatarł ślady, w niepamięć poszły kulisy tego aktu, dziś trudno dociec szczegółów z tamtych lat. Podobno w Urzędzie Wojewódzkim uwierzono, że dobra były podzielone i że użytkowano je jeszcze przed wojną małymi partiami. Dobra nie rozparcelowano.

Umysł ludzki cechuje, niestety, zdolność prawie natychmiastowego zapomnienia. Współwłaściciele Gosławic liczyli na ludzką niepamięć. Ale te oparte na przesłankach filozoficznych kalkulacje zawiodły w odniesieniu do chłopów. Ci pamiętali dobrze kto był panem w Gosławicach. Poszły więc ich skargi do Łodzi, rozdzwoniły się telefony. Dokumenty przetrziano w samym Ministerstwie Rolnictwa. Sprawa, odgrzebaną na nowo, już wówczas pachniała niedobrze. Dopatrzone się wielu uchybień, skonstruowano, że Wojewódzki Urząd oparł swą zdumiewającą decyzję na fałszywych dowodach. W kwietniu 1949 roku, w myśl dekretu o reformie rolnej, gosławickie ziemie przeszły na własność państwa. Tak zdecydowało ministerstwo. Przekazano je OZR-owi, zakładów pracy w Częstochowie. Mogło się здаwać, że klamka zapadła, a klucze do majątku ujęli na zawsze robotnicy.

Bracia Szczęśniewscy i Jędrysik nie sprawiali jednak wrażenia przybitych. Oni dopiero rozpoczęli wielką grę i mieli jeszcze — jak sądzili — dość atutów, które odsłonią, gdy przyjdzie na to czas. Pierwsze uderzenie — to w 1945 roku — częściowo się powiodło. Dlaczego i drugie, lepiej przygotowane, miałyby

przynieść gorsze efekty? Czekali więc cierpliwie pomyślniejszych wiatrów. Czekali latami. Nadszedł rok 1957 — nadzieje ożyły. W Gosławicach pojawił się syn Jędrysika, Wiktor, który ukończył prawo. Uradzono pchnąć dzieło wspólnymi siłami. Horyzont wydawał się bezchmurny, atmosferę oceniono jako przychylną. Dawni współwłaściciele dóbr w Gosławicach wystosowali tęgą epistolę do Ministerstwa Rolnictwa z emfazą kryjącą, ile ich spotkało krzywd w okresie błędów i wypaczeń, ile ponieśli strat moralnych, psychicznych i materialnych.

Ministerstwo odpowiedziało pismem z maja 1957 roku do Powiatowego Zarządu Rolnictwa w Radomsku:

... o ile majątek był przed wojną rzeczywiście podzielony, o ile istotnie jego współwłaściciele gospodarzyli oddzielnie i na własny rachunek, to istnieje podstawa by ich uwłaszczyć.

Pismo to zinterpretowano na miarę urzędniczych głów powiatowego szczebla. Bez dostatecznych badań Powiatowy Zarząd Rolnictwa w lipcu 1957 roku przywrócił dobra Szczęśniewskim i Ję-

drysikowi. Druga krucjata przeciw reformie rolnej powiodła się. Grono działaczy w powiatowym mieście uległo dezorientacji. Może uznali oni, że reforma rolna była zbyt surowa, i nie zaszkodzi jeśli jej ostrze trochę się przytępi? Licho wie jak to było.

Pewnego lipcowego dnia dawni farnale z Gosławic ujrzeni swoich przedwojennych pracodawców, ujrzeni panów dziedziców w blasku słońca, wśród dojrzalego żyta. Cóż za satysfakcja dla jednych, jakie upokorzenie dla drugich! Ile nadziei obudziło to u innych obszarników ziemi radomszczańskie. A już w całym województwie uznają, że za dużo majątków rozdzielono? Może nie wszystkie z nich są stracone bezpowrotnie, może powróci niejedyn karmazyn do dworu?

Dawni farnale odeszli do domów ze spuszczoneymi głowami. Rozmyślali pewnie nad zmiennością ludzkich poczynań i nad dziwnymi posunięciami urzędników... Ci zaś, którzy w ciągu doby stali się ponownie bogaczami — zakasali rękawy. Czas uciekał. Trzeba się było spieszyć.

Niemal w okamgnieniu uzyskali w Sądzie Powiatowym zgodę na założenie własnej hipoteki. Do Gosławic zajął mierniczy i z szybko-

ścią zapierającą dech w piersiach podzielił dobra na małeńkie półhektarowe działki. Oj, było naprawdę na co patrzeć! Jakże długo czeka się zazwyczaj na wsi na mierniczego, ile znoju i zachodów kosztuje założenie hipoteki! Na to potrzeba miesięcy, czasem lat!... A dla panów dziedziców?

Plany majątku przedstawiały się pasjonująco. Pająk opiółł ziemię misterną siecią nitek, tworzących równiutko pocięte poletka. W pajęczynie mieli wpaść miejscowi chłopci. Każde poletko uzyskało swój numer i dokładny opis, każde czekało na nowego właściciela... I znalazło go.

Transakcji dokonywano błyskawicznie. Nim w Łodzi zorientowano się, że w radomszczańskim ktoś parceluje ziemię na własny rachunek, „rycerze krucjaty” sprzedali 26 hektarów ziemi. Brali za hektar po kilkadziesiąt tysięcy złotych. Gospodarze zgryztały zębami, ale placili. Półhektarowa działka to nie przelewki, można na niej od biedy utrzymać jedną mlecznicę.

Interes kwitł, pieniądze płynęły. Lecz ich strumień z nagłą wysechł. Wieści o go-

slawickim humbugu dosięgły Łodzi. Wydział Rolnictwa i Leśnictwa Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej złożył protest przeciw decyzji Powiatowego Zarządu Rolnictwa w Radomsku. W powiatowym mieście znowu otworzono teczę, wysypano na stół akta. Prawda wyszła jeszcze raz na jaw. Dobra nigdy nie były podzielone, stanowiły zawsze jeden wielki majątek. Uznano, że poprzednia decyzja Powiatowego Zarządu była nieporozumieniem i uchylono uchwałę o przywróceniu praw własności dawnym współwłaścicielom 165 hektarowej posiadłości. Nie ulegało wątpliwości, że dobra zawsze podlegały dekretowi o reformie rolnej.

Szczęśniewscy stracili na humorach. Jędrysik ani trochę. Ten właściciel przedsiębiorstwa, obeznany z finansami — nie poddawał się tak łatwo. Napisał odwołanie do Łodzi. Łódź je odrzuciła. Wobec tego zaczął szturmować Ministerstwo Rolnictwa. Ministerstwo, pismem z listopada 1958 roku odrzuciło wszystkie pretensje Jędrysika. Szczęśniewscy złożyli broń. Ale nie Jędrysik.

W międzyczasie wyloniła się kwestia: co robić z chłopami, którzy nabyli działki od Szczęśniewskich i Jędrysika w 1957 roku? Wydziedzić ich? Nie, nie można,

działali wszak w dobrej wierze. Wprawdzie nabyli ziemię nie aktem notarialnym, lecz w drodze umowy prywatnej, jednak krzywdzić chłopów nie wolno. Ich prawa będą musiały zostać odnotowane w księgach wieczystych. Natomiast ziemia, której rozsprzedać nie zdążono, przeszła w trwałe użytkowanie spółdzielni produkcyjnych w Gosławicach i Piaszczycach. Jesienią dojrzeje na niej zboże i ziemniaki, teraz zieleni się na łąkach trawa, sięga już kostek. Tę trawę zamierza skosić Jędrysik. Trzymał lancę zawsze wysoko i nim się obejrzano zadał nią nowy cios i to celny. Nie darmo ma się prawnika w rodzinie.

Pominął decyzję władz wojewódzkich i ministerstwa, nie uznał dekretu o reformie rolnej i licząc najwidoczniej na jakieś przeoczenie skierował sprawę, jak się rzekło, do Sądu Powiatowego. Zaskarżył nie spółdzielnię produkcyjną, (depiej nie ruszać, za mocna), a imiennie jej indywidualnych członków. Zaskarżył o naruszenie praw własności. Terenem wyjściowym do nowej, trzeciej już krucjaty miały być łąki użytkowane przez spółdzielnię w Piaszczycach. Jędrysik uznał, że linie obronne wroga są najslabiej umocnione na tych właśnie łąkach. Zebrał więc siły i uderzył. Atak, o dziwo, powiódł się.

Wyrokiem z 7 marca 1960 roku Sąd Powiatowy uznał prawo Jędrysika do spółdzielczej ziemi. Wyrok został zapopatrzony rygiorem natchmiastowej wykonalności. Spółdzielcy powinni łąki opuścić. W takich wypadkach zjawia się na wsi komornik. (Jeśli to konieczne — w asyście milicji) i dogląda, by stało się jak sąd orzekł. Tym razem nastąpiło odchylenie od reguły. Komornik w Piaszczycach nie pokazał się, ludzie odczuli, że coś jest nie tak. Zapadł bardzo dziwny wyrok, na tym sprawy zakończyć się nie da. Istnieją przecież pomyłki sądowe, mogą się zdarzyć niedokładności w postępowaniu dowodowym. Ale Jędrysik zachęcony radomszczańskim wyrokiem skarży obecnie nowych spółdzielców do sądu.

W ich obronie stanął Wojewódzki Związek Spółdzielni Produkcyjnych. Sprawę przejął radca prawny związku. On zmierzył się z Jędrysikiem, tym razem w sali Sądu Wojewódzkiego, dokąd skierowano prośbę o rewizję wyroku, jaki zapadł w Radomsku. Czym to wszystko się skończy? Bóg raczy wiedzieć. Zaiste dziwna, nad wyraz dziwna sprawa. I czemu raz po raz wypływa? Ustalono przecież wielokrotnie, że gosławickie dobra podlegają reformie rolnej. Wypowiedziało się w tej mierze również Ministerstwo Rolnictwa. Zobaczymy jednak, jaki będzie koniec gosławickiej krucjaty. Sztuka udała się dwa razy, czy uda się i trzeci?

MATEUSZ DZIEWISZ

Wydawnictwo 1960

Pisać o Wydawnictwie Łódzkim — to jednocześnie pisać także o polityce kulturalnej. Dopiero umiejscowienie Wydawnictwa w ramach ogólnej polityki kulturalnej pozwala na jakieś sensowne określenie jego dotychczasowego dorobku. Niezależnie od tego jak ocenimy jego dorobek wydawniczy, Wydawnictwo to stało się już trwałym składnikiem łódzkiego życia kulturalnego. Nie bez powodu kładę szczególny nacisk na rolę i miejsce jakie Wydawnictwo Łódzkie spełnia w stosunku do własnego regionu. Rzecz jasna, daje to Wydawnictwu niewątpliwie prerogatywy ale i temperuje zbyt rozległe perspektywiczne poczynania. Mówiąc bez niedomówień, w Polsce istnieje specjalizacja wydawnictwa i nikt rozsądny nie będzie domagał się obciążenia młodego wydawnictwa funkcjami, które z dużo lepszym rezultatem pełniły i pełnią takie wydawnictwa jak „Czytelnik” czy Państwowy Instytut Wydawniczy. Określa to oczywiście profil Wydawnictwa i jego politykę wydawniczą.

Wydawnictwo Łódzkie nie rezygnując z poczyniań rozleglejszych koncentruje się przede wszystkim, jeśli idzie o literaturę, na utworach o tematyce współczesnej, dając pierwszeństwo łódzkim twórcom. Wprawdzie o konkursie na powieść o tematyce współczesnej zdążyliśmy już wspomnieć, tak jak wspomniano już o niejednej z wyróżnionych i nagrodzonych powieści, ale sam fakt rozpisania konkursu, który przyniósł tak liczny ilościowo plon pozostał nie trwałym dorobkiem Wydawnictwa. Interesującym pomysłem wydawniczym była także Biblioteka Poetów. Wydawnictwo wprawdzie zrezygnowało już z wydawania Biblioteki Poetów, ale nie zrezygnowało z dalszego popierania debiutów poetyckich. Już w tym roku na wejście do łódzkiego targowiska poetyckiego szykuje się nowych pięciu debiutantów. Będą to tomiki poetyckie Cieślaka, Zarzyckiego, Wiśniewskiego, Krysińskiego i Wawrzkiwicza. Skoro mówimy o debiutach warto dodać, że w Wydawnictwie Łódzkim także jeszcze w tym roku ukazały się utwory prozatorskie autorów znanych już z twórczości poetyckiej. Będą to zbiory opowiadań Jerzego Waleńczyka, Bernarda Sztajnerta i Andrzeja Brychta. Otrzymamy także nowe tomiki wierszy Jarosława Marka Rymkiewicza i Wacława Mroczowskiego. Wydawnictwo dając pierwszeństwo pisarzom, mieszkającym w Łodzi, nie rezygnuje ze współpracy z literatami spoza regionu łódzkiego. Co jest jakoś uzasadnione, bo przecież nie wszyscy pisarze z łódzkiego środowiska literackiego skazani są na Wydawnictwo Łódzkie. Jedni — bo problematyka ich twórczości nie mieści się w profilu Wydawnictwa, inni z innych jeszcze względów. Tym zaś, którzy pisują o nikłych przejawach życia kulturalnego w Łodzi dedykować wypada nowe utwory łódzkich pisarzy, które ukażą się w najbliższych miesiącach. Są to książki Wiesława Jażdżyńskiego „Okolica starszego kolegi”, Wacława Bilińskiego „Lato po wojnie”, nowe utwory Leona Gomulickiego i Stanisława Czernika. Nie są to rzecz prosta wszystkie pozycje z zakresu literatury, które Wydawnictwo zamierza wydać w roku bieżącym jak i w latach następnych.

W ostateczności jednak nie pozycje literackie określają odrębność Wydawnictwa Łódzkiego od innych tego typu wydawnictw. Choć w tym zakresie można by zrobić nieco więcej. Wydawnictwo podjęło ceną inicjatywę reedycji niektórych wartych ocalenia od niepamięci pozycji z literatury przeszłości. Ot, takie choćby „Księgi humoru polskiego”. Ale czy by nie warto zwiększyć ilości tego typu pozycji wydawniczych? Nie da się przecież w nieskończoność ciągnąć na pewno dla Wydawnictwa in-tratnej imprezy, jaką jest popularyzowanie w narodzie twórczości Aleksandra Dumasa. (Dla miłośników Aleksandra Dumasa w roku bieżącym nakładem Wydawnictwa ukaże się „Dama kame-liona”). Z tych planów wydawniczych, z jakimi miałem możliwość się zapoznać, wynika, że nie pozycje z literatury określają regionalną specyfikę wydawnictwa. Ze będą to przede wszystkim pozycje, które już przygotowała i przygotowuje redakcja społeczno-polityczna Wydawnictwa. Od razu spieszę wyjaśnić, że są to pozycje traktujące raczej o rewolucyjnych i postępowych tradycjach regionu aniżeli o bieżących sprawach naszej współczesności. Z pozycji, które już się ukazały zasygnalizować warto książkę Stanisława Gajka „Promieniści” o działalności na terenie Łodzi w okresie okupacji rewolucyjnej organizacji młodzieżowej. W tej samej serii ukazały się także „Pamiętniki nauczyciela” Adama Kowalskiego, a ukażą się „Pamiętniki dra Poznańskiego traktujące o życiu getta łódzkiego. Nie rezygnując z pamiętników i z wspomnień z okresu okupacji Wydawnictwo zamierza publikować cykl wspomnień robotniczych z okresu międzywojennego; prace traktujące o tradycjach rewolucyjnej łódzkiej klasy robotniczej; prace omawiające początki i rozwój przemysłu w okręgu łódzkim; a także historię powstania wielkich fortun łódzkich fabrykantów: Kohna, Poznańskiego, Geyera i innych.

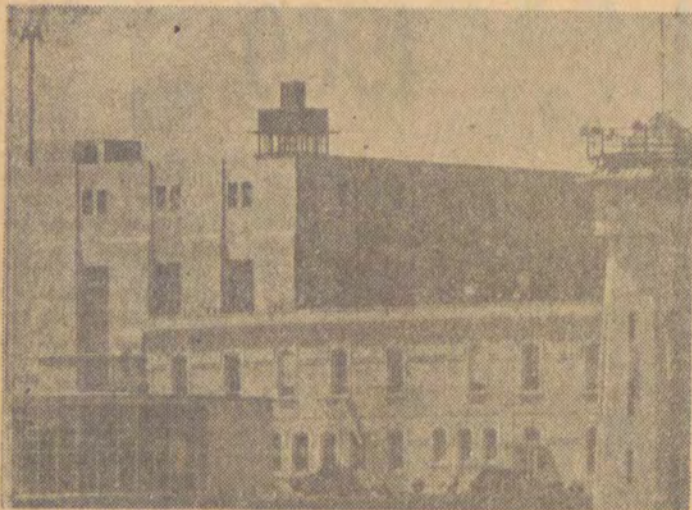
W planach Wydawnictwa znalazły się także prace mówiące o kulturalnych tradycjach naszego miasta. Wspomnienia księgarza — Męczyńskiego, praca Wandy Lipiec „Zelwerowicz a teatr łódzki” czy praca Władysława Bortnowskiego „Echa powstania listopadowego na Ziemi Łódzkiej”. Z innych pozycji Wydawnictwa Łódzkiego warto odnotować przygotowywaną książkę na tematy obyczajowe Salomona Lastika oraz książkę Mariana Podkowińskiego na którą złożył się szkice z zakresu polityki międzynarodowej.



odqtośy str. 5

krucjata przeciw... reformie rolnej

CARYL
CHESSMAN



Wieżenie San Quentin. Tu umierał Caryl Chessman.

Cela 2455, Korytarz Śmierci

mógł wziąć kąpiel. W te dni, po zdaniu brudnej bielizny, będę otrzymywał czystą zmianę.

Otrzymałem urządzenie radiowe ze słuchawkami na uszy, którego sznur jest podłączony do gniazdka w ścianie celi. Programy radiowe są dobrane przez władzę więzienne. Urządzenie będzie czynne od siódmej rano do jedenastej w nocy. (Obecnie ci, którzy cierpią na bezsenność, mogą słuchać radia także i w nocy). Jeśli by przyszła mi ochota na wykorzystanie drutu w innym celu, urządzenie zostanie mi odebrane lub zostanie ukarany.

Otrzymałem zmianę bielizny pościelowej i piżamę. Co piątek — rano — będę wieszal je na kratkach celi. Bielizna zostanie odesłana do pralni i oddana mi po południu. (Później więźniowie w Korytarzu otrzymali uszyte w więzieniu prześcieradła kąpielowe — zwane przez skazańców prześcieradłami duchów — które mieli nosić do kąpeli). Wolno mi pisać listy, Wol-

ku mogli oglądać — w czasie dwóch godzin, przeznaczonych na spacer — szesnastomilimetrowy film.

Czy mam jakieś pytania? Nie, nie mam pytań.

Brzuchaty oficer odszedł. Wrócił raz jeszcze, po kilku minutach, by wręczyć mi paczkę papierosów. — Od twojego przyjaciela w Korytarzu — powiedział.

Przyjaciół w Korytarzu był człowiekiem, którego znałem od wielu lat.

Zauważyłem, że moja cela była gruntownie wysprzątana. Mimo to, zabrałem się ostro do roboty. Raz jeszcze zamontowałem podłogę, pościeliłem łóżko i ułożyłem kilka drobiazgów, które otrzymałem już w więzieniu, na półce ponad łóżkiem. Potem, bez specjalnego entuzjazmu, rozejrzałem się w świecie, który mnie otaczał. Pod sufitem, naprzeciw mojej celi, znajdował się lampa. Pałała się bez przerwy przez dwadzieścia cztery godziny. Na kratkach oddzielających Korytarz od innych rewirów, również naprzeciw

A przecież to była rzecz wistota. . . .

— Nie wymkniesz się Korytarzowi — powiedział mi w dniu mego przybycia jeden ze skazańców.

Jeśli nie wymknę się Korytarzowi — odpowiedziałem, uśmiechając się — to i Korytarz nie wymknie się mnie.

I tak się działo, przez lata, bez końca. Jednak dopiero po wielu, wielu miesiącach głębsze, rzeczywiste znaczenie tych słów stało się dla mnie brutalnie jasne. Wtedy jeszcze ich nie rozumiałem. Bo skąd? Nie interesowałem się moimi stanami psychicznymi. Byłem zainteresowany w tym, by przeżyć.

Tańcząc, musisz pamiętać, że skrzypek zażąda w pewnej chwili zapłaty. Początkowo patrzyłem na ludzi, odbywających swój ostatni spacer pod drzwiami mojej celi, bez zmużenia powiek. W oczach niektórych spośród współwięźniów — tych przede wszystkim, którzy nie mogli powstrzymać się od identyfikowania swoich losów z losami idących na śmierć — byłem zimnokrwistą rybą. Sądzono, że kiedykolwiek skazaniec pędzony jest na śmierć, powinienem zalać się psychicznie. Znaleźli się nawet tacy, którzy oburzali się, ponieważ nie płakałem i nie lamentowałem.

— Chwileczkę — mówiłem. — Wy zajmujecie się sobą, a ja zajmuję się Chessmanem. Postarajmy się zrozumieć nawzajem. Nie mam ani czasu ani chęci oplakiwać Chessmana. Tym bardziej nie mam ani czasu ani chęci oplakiwać któregoś z was.

Czas Korytarza był dla mnie czasem martwym. Długość życia nie liczyła się. Nie prosiłem o nic, tylko o to, by pozostawiono mnie samemu sobie. Nie obchodziło mnie, czy uważają Chessmana za zimnokrwistą rybę czy za człowieka. Nie prosiłem nikogo, by trzymał mnie za rękę, by mnie oplakiwał, by mnie żałował. Z wyboru, a nie dzięki przyjętej pozycji, byłem chłodny, obojętny a przede wszystkim pracujący maszyną. Uczucia ludzkie były luksusem, na który nie mogłem sobie pozwolić. W tym otoczeniu mogłyby one okazać się słabością, i to słabością fatalną w skutkach. To śmieszne, nie trapiła mnie myśl o śmierci. Trapiła mnie myśl o możliwości klęski. Gdyby otoczenie osiągnęło nade mną przewagę, przegrałbym. Gdyby Korytarz złamał mnie w jakikolwiek sposób, przegrałbym.

Nie zamierzałem przegrać.

I nie przegrałem. A jednak nie można spędzić ponad pięć lat w takim miejscu, jak Korytarz Śmierci, i nie zmienić się radykalnie. Po pewnym czasie Korytarz zaczyna zdobywać przewagę. Przeżera cię. Opanowuje twoje wnętrze. Nigdy już nie będziesz tym, kim byłeś.

Czy wątpisz w to? Czy myślisz, że mógłbyś spędzić prawie dwa tysiące dni, więcej niż sześćdziesiąt miesięcy, ponad pięć lat w Korytarzu, buntując się i walcząc o życie, trwając cały czas w cieniu komory gazowej, i nie zmienić się? Czy sądzisz, że mógłbyś patrzeć jak około pół setki skazańców pod drzwiami twojej celi odbywa swój ostatni spacer, i wierzyć, że ten fakt nie przeżre ci myśli? Czy sądzisz, że mógłbyś, patrząc jak skazańcy ze strachu przed zbliżającą się śmiercią, osiagają granicę, za którą zaczyna się szaleństwo, pozostać wierny swojej miennej osobowości? Czy sądzisz, że mógłbyś oglądać ludzi szcztujących ku samobójstwu lub popełniających samobójstwo ze strachu, i pozostać zupełnie nieprzemakalnym dla otoczenia? Ze mógłbyś, widząc, jak twoi skazani towarzysze dziko ścierają się między sobą, pozostać obojętny, na uboczu? Ze mógłbyś, widząc sturturewaną świadomość i emocje skazanych obnażone przez szczyrca groźbę śmierci, nie doświadczyć wewnętrznego przewrotu?

Postanowiłem, że Korytarz nie zmieni mnie, że pozostanę nietykany. W końcu stało się inaczej. Jest jednak różnica między słowem „zmienić” a słowem „zalać”. Nie zalałem się. Tak, jak nie doświadczyłem nagle objawienia. Patrzę z podejrzliwością na tych, którzy zostają, że nagle zstąpiło na nich światło. Kolejne kryzysy mogą wzmocnić i konstruktywnie zmienić nawet Chessmanów tego społeczeństwa, ale zmiana ta nie następuje w jednej magicznej chwili, w oślepiającym błysku objawienia. Objawienie, zrodzone z szeregu następujących po sobie kryzysów, może jedynie oświetlić drogę; nie może jednak unieść ciebie, biernego, ku jaśniejszym i szczęśliwszym krańcom. Czeka cię jeszcze długa podróż, męcząca podróż. To ty, ty sam, jesteś tym, który musi ją podjąć.

Tłumaczył
JAROSŁAW MAREK
RYMKIEWICZ

POCZĄTEK KOŃCA

(2)

Oficer służbowy przekreślił klucz i otworzył pierwsze drzwi przypominającego klatkę ogrodzenia; tu rozpoczął się Korytarz. Wszedłem, prowadzony przez dwóch strażników. Dzwoni zamknęły się za nami. Potem drugie drzwi, z podwójnym zamkiem i zasuwą. Poprowadzony przez strażników, ruszyłem Korytarzem do celi 2455. Drzwi celi otworzyły się, wszedłem do wewnątrz i rzuciłem moje rzeczy na łóżko. Usłyszałem trzask opadającej sztaby i zgrzyt klucza w zamku. Wiedziałem, co oznaczają te dźwięki. Chessman znalazł się w najdalej wysuniętej ku śmierci części więzienia.

Brzuchaty oficer o bladoniebieskich oczach powiedział spokojnym, bezosobowym głosem:

— Regulamin. Nieuniknione przepisy. Ułożyliśmy tu wszystko dla ciebie, nie próbuj nic zmieniać. Oto one, przepisy:

Będę otrzymywał posiłki dwa razy dziennie, o ósmej rano i wczesnym popołudniem. Jedzenie będzie mi przynosił więzienny kelner (nie jest skazańcem); z menu, przekazywanego z celi do celi, będę mógł wybrać, co tylko

zechcę. Nóż, widelec i łyżka zostaną mi wydane na czas posiłku i będą zabrane, kiedy skończę jeść.

Każdego ranka do mojej celi przyjdzie oficer z przyborami do golenia. Jeśli będę chciał się ogolić, zakomunikuję to oficerowi, a ten wyda mi maszynkę i żyletki lub brzytwę. Więzienny służący przyniesie mi ciepłą wodę. (W kranach znajdujących się w celi jest tylko zimna woda). Natychmiast po ogoleniu wróćę przybory oficerowi.

Wraz z innymi skazańcami będę mógł przebywać poza celą dwie godziny dziennie (poza te dwadzieścia dwie godziny na dobę będę spędzał, zamknięty w mojej celi). Podczas tych dwu godzin mogę spacerować, rozmawiać, grać w warcaby, szachy lub karty. Nie wolno mi oddawać się grom niestosownym, nie wolno mi się bić z innymi więźniami. Złamanie któregoś z przepisów pociągnie za sobą zawieszenie przywileju opuszczania celi lub odosobnienie w „celi milczenia” w odległym końcu Korytarza albo w izolacji w innej części więzienia.

Dwa razy w tygodniu, w niedzielę i w środę rano, będę

no mi także — w ilości nie wykraczającej poza granice zdrowego rozsądku — otrzymywać listy od zaaprobowanych przez władzę więzienne przyjaciół, krewnych i adwokatów. Mogę także przyjmować wizyty, rzecz jasna, pod nadzorem.

Jeśli posiadam pieniądze na książeczce, mogę nabywać w kantynie więziennej tytoń, słodycze i inne przedmioty, za sumę nie przekraczającą pięćdziesięciu dolarów miesięcznie. Książki i gazety codziennie są dostarczane skazańcom przez władzę więzienne. Dzienniki są podawane z celi do celi. Każdej soboty kapelan katolicki, odwiedzając Korytarz, zostawia także plik popularnych magazynów. Skazańcom wolno przenieść tygodniki i magazyny ilustrowane. Prenumeratę potrąca się z ich rachunków.

Pozwolono mi także rozmawiać ze współwięźniami z celi, przylegających do mojej; tylko głośne rozmowy i hałasowanie były zakazane. Światła gaszono o dziesiątej trzydziestej wieczorem. Do następnego ranka obowiązywała cisza. Jeśli więźniowie w Korytarzu zachowywali się bez zarzutu, każdego czwart-

mojej celi, wisiał biurowy, elektryczny zegar. (Drugi, identyczny, wisiał na wprost celi znajdującej się w końcu Korytarza). Patrzyłem, zamysłony, na jego białą tarczę, czarne cyfry i czarne wskazówki. Czerwona wskazówka sekundnikowa okrążyła tarczę. Dwadzieścia po jedenaście. Za dziesięć minut rozpocznie się spacer. Przez te dziesięć minut przemierzalem wzdłuż i wszerz moją celę, paląc i rozmyślając.

Co mnie czeka?

Co może mnie czekać?

Był poranek niedzielny trzeciego lipca roku tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego. Nie śniło mi się jeszcze wtedy, że spędzę w Korytarzu śmierci więcej czasu, niż ktokolwiek ze skazanych na śmierć przede mną. Miały przeminąć lata, miała trwać ich powolna i gwałtowna procesja. Mielicieście czytać w waszych gazetach o skazańcu imieniem Caryl Chessman; być może, czytając zastanawialiście się kim jest ta dziwna kreatura.

Czasami Chessman sam się nad tym zastanawiał. Czasami to, co było jego udziałem, wydawało się zupełnie nierzeczywiste.

*Pewien młodzieniec brzydki, ale i nie ładny,
był w kwestii męskich potrzeb strasznie nieporadny,
wreszcie poszedł do znachora
kając: kobiety półtora
w Łodzi przypada na mnie, a ja nie mam żadnej. —*

*Młody liryk, przybywszy na Stoki,
pejzaż ujrzał ze wzgórz szeroki.
Tu, choć widok przed nim się roztacza,
on rękami macha i rozpacza:
ach, nie mogę ulecieć w obłoki!*



*Na maszcie Radiostacji raz pewien radiota
ujrzał w czasie programu obrzydliwego kota,
wspiał się tedy na maszcie śmiało,
widzi, że mu się zdawało,
bo to lampka świeciła, a nie oczy kota.*

*Na Kozłach lokator dziki
hodował w wannie krótki,
więc go zamknęto do kozy,
bo winien tam trzymać kozy,
albo jeśli nie kozy, to tryki.*



*Pewna żona z osiedla podłódzkiego Rogi
niemrawemu mężowi przypawiła rogi,
i odtąd, wzdłuż izb i wszcz,
mąż biega jak w klatce zwierz,
a jest przy tym tak srogi, że wszyscy drżą z trwogi.*

*We wsi zwanej lirycznie Zabieniec
mieszkał pewien wstydlawy młodzieniec,
choć była ochotna
pewna panna ze Złotna,
jego ciągle oblewał rumieniec.*

*Na Zdrowiu, przy miejskim Zoo,
starszy pan harcował goło,
Jedni wolali doń stój!
drudzy wolali: a pfu!
a on w galop, bo było mu bardzo wesoło.*

*W pewnym domu, słyszącym z literackich sporów,
stwierdzono ubywanie nagle lokatorów.
A to jeden z pisarzy, co w hecach był specem,
kilku miłych kolegów zamknął w bibliotece,
wcinawszy ich w okładki książek dla pozoru.*

TADEUSZ GICGIER

LIMERYKI ŁÓDZKIE

*Nie od razu Łódź zbudowano.
Najpierw długo w tym miejscu kopano,
potem kładziono nawierzchnię,
potem zrywano pośpiesznie,
znow kładziono, znow rozkopywano.*

*Dwie panny, co w niedzielę zwykłe długo spały,
chciały raz na wycieczkę pojechać do Spały,
lecz spóźniły się na pociąg,
więc im odszedł całkiem pociąg
i śpią znow do południa, jak dawniej sypiały.*



mować. Najwyżej dziewczyna słyszy: „A nie przejmuj się!” Dziewczyna jest tedy przeświadczona, że już złamała pokątną ilość norm moralnych. Ze już właściwie „stało się”. Ale przecież nie zrezygnuje z wszystkiego co czuje się w prawie posiadac, co stanowi istotę życia żeńskiej wyrostka: nie wyrzeknie się chłopca, szpilek, kawiarń, tańca, szminki. Akurat sąsiadka łapie dziewczynę z papierosem w zębach. W domu kosmiczna awantura. Słyszycy więc, że „stoczyła się” że dramat, że rodzice pomrą z rozpaczy, że to koniec itp. Albo też organizuje jej się w domu małe wzięcie.

Nasza dziewczyna łatwiej niż imia stanie się prostytutką, złodziejką, przystanę do półprzestępczej paczki, jednym słowem skreci z normalnej koleiny życiowej. Albowiem zatraćła poczucie granicy, nie odczuwa przekroczenia progów, ba nawet myśli, że już dawno go przekroczyła, malując usta lub wkładając szpilki. A normalnie takiej pannie nie jest łatwo próg taki przekroczyć.

Powyższy tok rozumowania jest jednostronny i uproszczony. Pragnę wszakże polemizować z sielsko-anielskim wyobrażeniem o tym, że mamy gotowy trójczłonowy krąg wychowawczy: dom szkoła—organizacja (plus prasa, literatura, film) i to ma być wszystko. Pragnę się sprzeciwić poglądowi, że jeśli tylko żadnego członu nie zabraknie i wszystkie będą normalnej jakości (tj. np. tata nie będzie pijak), to pozytywne rezultaty wychowawcze są automatycznie gwarantowane.

Złem jest aura sielskiej, bezkonfliktowej koegzystencji. Konieczne jest między tymi członami współżycie ale dyskusyjne, kontrowersyjne.

Andrzej Mazur pisał w trakcie dyskusji jak to środki masowej transmisji podają młodemu człowiekowi gotowy obraz dorosłego świata, jak to nie musi on już odbierać tego obrazu z drugiej ręki, przetworzonego przez mentalność nauczycieli i rodziców. Istotnie, dzisiejszy młody człowiek wchodzi w świat dorosłych lub światek malujący dorosłych szybko i łatwo. Współczesne społeczeństwo bez pośrednictwa rodziców daje mu wolność obyczajową, zwłaszcza w dziedzinie obcowania z osobnikami płci odmiennej, prawo wejścia do kawiarni, możliwość kształtowania gustów bez pomocy mamy i domowej krawcowej, nowoczesne instytucje służące spędzaniu czasu itd. A do tego przydany jest praktyczny monopol domu na ocenianie stylu życia młodego człowieka, na wystawianie moralnych cenzur. Jeśli nawet nie jest to zupełny monopol, jeśli takie młode coś czyta prasę, chodzi na jakieś zebrania czy ogląda filmy prezentujące nieco inne poglądy niż mamusine i tatusiowe, to cały ten krąg oddziaływania nie wchodzi w bezpośrednią polemikę z domem w imię miłości i harmonii, w której tkwi ponoć zbawienie.

Większość listów, które w związku z dyskusją przyszły do redakcji, zawiera wymyślenia na kawiarnie jako takie i na fakt, że wpuszcza się do nich młodzież. Koronarym deprawatorem są tedy cztery nogi stolika i ekspres do kawy. Otóż to! Niejedna panna zawdzięczać będzie „Odgłosom” zakaz chodzenia do kawiarni. I będzie to może jedyny praktyczny rezultat chodzenia do kawiarni.

MY — AUTORZY KLIMATU
Ow pęd do dorosłości, psychologicznie podłożę większości przypadków wykołajenia się i zjawisko zawsze występujące, różne w róż-

nych okresach napotykał mo żliwości realizacji. Po wojnie w Polsce zostały one zwielokrotnione. Młody człowiek szybko dziś może wiele z życia wycisnąć: w tym i rozrywki, i swobody, i wolności. Są to wszakże możliwości dotyczące konsumpcji. Jeszcze przed kilku laty dotyczyły one również wytwórczości i twórczości. Znikło już u nas zjawisko błyskawicznego awansu, pełnoprawnego ważenia kilkunastolatków w życiu społecznym. Znikła dla nich możliwość działania na równych prawach w prawdziwym świecie dorosłych i możliwość lepszej lub gorszej, ale natychmiastowej twórczości w każdej dziedzinie.

Młody człowiek ongiś zamknęty w czterech ścianach domu i szkoły, dziś obracający się na ulicy, w kawiarni, klubie, na terenach sportowych, wycieczkach, ki nie itp. tenże młody człowiek konsumujący z frajdą tego świata więcej niż sprawowani i tradycyjnie domatorscy rodzice, zarazem jest świadom tego, że realizacja jego celów życiowych jest odległa, wiedzie poprzez całe lata nauki i praktykanctwa i jest tym dłuższa i

willa, podróże zagraniczne Albo przynajmniej ładne mieszkanie, telewizor, lodówka, podróże zagraniczne. Marzenia maksymalistyczne są nieziszczalne. Mimo, że młody człowiek widzi tak wielu ludzi (a widzi więcej niż jest ich naprawdę), dla których się one ziściły. Zdobyć wysokiej pozycji społecznej, szanowanego zawodu, solidnej w nim pozycji nie idzie w parze z uzyskaniem luksusu lub solidnego dostępu.

Poprzez naukę i awanse zawodowe własnego mieszkania, motocykla i innych tektywizmów nowoczesnej rzeczywistości dochrapać się można po 10—15 latach. Dla sze snastolatka taka długofalowość planowania życiowego jest psychologicznie nie do przyjęcia. A zdobycie samej pozycji społecznej bez materialnego jej wyposażenia — jest już celem mniej atrakcyjnym. (Stąd zawód wybiera się byle jak).

Gdzieś w kręgu tych zjawisk leży „da się przyczyna atrakcyjności życia doraźnie lekkiego, czasem przechodzącego już w patologiczne formy, w kołując z kodeksem farmym. Wybór takiego życia nie jest próbą realizowania życiowych celów środkami amoralnymi w

Sfinksowate? Nie rozumiem w ogóle, na czym opierają się podejrzenia w tej mierze. Chyba żywią je tylko ludzie organicznie niezdolni do pojęcia niczego, co nie przypomina obrazu namulowanego na ich podobieństwo.

A zbuntowane? Przeciwno komu i czemu? Cała rzecz i całe nieszczęście polega na tym właśnie, iż nie reprezentują oni tak zwanego „buntu młodych”. Odwieczne to zjawisko polegało na tym, że zbuntowani prezentowali pokoleniu starszemu jakieś kontrwartości, chociażby tylko wartości negatywne, po czym następował proces godzenia się ze światem, przypasowywania się do niego i przystosowywania. Z tym wszakże, że okres buntu przynosił jakieś poprawki, jakieś dokonania będące stałymi zdobyciami poprawiającymi model życia przez nich zastanego.

W „Egzotycznej” nie ma buntu, nie pada zdanie „nie zgadzamy się”. Tam akceptowane są teoretycznie wszystkie wartości, jakie uznaje świat ich otaczający. Nie chcą oni walczyć ani z socjalizmem, ani z „ideałem ojczyzny” ani z Bogiem, ani z u-

wolować się, na przekór niej do kruchty, magla i bazaru?

ZAMIAST KRUCHTY, MAGLA I BAZARU

A więc jeśli nie milicja i nie zakazy i nie karności — to co? Nie jestem prestidigitatorem, nie mam magicznego cylindra, w którym by siedział królik. Na to pytanie mam dosyć nieprecyzyjną odpowiedź: podrzucanie na stolik „Egzotycznej” jakiegosi punktu oparcia. Kelnerskie w tej mierze funkcje mogą i powinny pełnić rozmaite instytucje z młodzieżową organizacją i masowymi środkami transmisji propagandy na czele.

Ale ta propozycja wymaga kilku dygresyjnych ustaleń.

Wyobrażam sobie mianowicie, że do działań pedagogicznych przedsięwziętych w stosunku do tej części młodzieży, która jest jakoś wykołajona z pożądanego społecznego drogi osobistego rozwoju, powołane są czynniki o określonym obliczu ideowo politycznym, nie zaś każda dobra ciotka, która chce żeby szesnastoletnie dzieci

naście lat, to jest czymś zdrożnym kochanie dziewczyny i konkretyzowanie tego uczucia w takich formach, jakie obojgu zakochanym najbardziej odpowiada. Dalej, że nie wszyscy uważają, iż jest coś niemoralnego w klimacie, modzie, obyczajowości i fasonach takich jakie panują w środowiskach bliskich „Egzotycznej” tylko dlatego, w gruncie rzeczy, iż są one odmienne od modelu, jaki reprezentują sobą i swoją młodocianością rodzice i nauczyciele.

Myślę, że już to stworzyło by pewną płaszczyznę porozumienia.

Chyba nie muszę tłumaczyć, że nie chodzi o afirmację „Egzotycznej”, a po prostu oddzielenie tego, co jest złem „Egzotycznej” w istocie rzeczy, od mód, fasonów i obyczajów, które każde pokolenie ma prawo kształtować sobie jak tego chce.

Częstkowe porozumienie, ów sojusz przeciwko kruchcie, maglowi i bazarowi jest w domu i szkole tworzy płaszczyznę porozumienia, którą udało się wykorzystać dla wyjaśnienia, że można zachować obyczajowość, modę, styl życia, upodobania będące atrakcją dla bywałców „Egzotycznej” — zarazem nie brnąć w zatracanie życiowej szansy, przegrywanie życiowej partii, wyskakowanie z klubu p.n. społeczeństwo.

Mam wrażenie, że polityczny charakter propozycji wyrażonej w powyższym wywodzie, będącym zresztą ogromnym skrótem myślowym — jest oczywisty. Że w „Egzotycznej” warto wykorzystywać te skłócenia jej bywałców z „dorosłymi”, które są i naszymi skłóceniami z dominującą ilościową częścią dorosłych.

Nie jest rzeczą przypadkową, że polityczna organizacja ZMS więcej zakłada kawiarni niż mów o socjalizmie do młodzieży.

TO, O CO CHODZI

Na koniec pragnę poczynić pewne zastrzeżenie do całego powyższego wywodu. Zastrzeżenie nie formalne, ale rzeczyste.

To, co powiedziałem, jest polemiką z pewną solidarystyczną tendencją dyskusji; tu my solidni starsi — tam oni, zdemoralizowana młodzież. Próbowałem wprowadzić nieco inne podziały. Zda się sobie sprawę z tego, jak to wzбудziło oburzenie.

Artykuł niniejszy jest uzupełnieniem dyskusji i przy czynkiem do niej, omawia rzecz z jednego tylko, pominiętego w jej toku punktu widzenia. Nie jest to zaś konferat polemiczny w stosunku do poprzednich głosów.

Ani cała nasza dyskusja, ani powyższy artykuł nie dotyczy spraw młodzieży w ogóle (bo nie istnieją takie sprawy w ogóle). Dotyczy tylko zjawiska i problemu umownie nazwanego „Egzotyczna”.

Tyle asekuracji. Poza tym jedna uwaga.

Rzeczą irytującą jest pewien fakt: w dyskusji naszej nie wzięli udziału i nie mogli z przyczyn subiektywnych wziąć udziału młodzi ludzie z „Egzotycznej”. Szkoda. Nie tylko z uwagi na możliwe walory poznawcze takiego precedensu. Również dlatego, że ob... jest im wszelka autorefleksja, po-

(Dokończenie na str. 10)

PANIE, PANOWIE O CO CHODZI?



zmuńdnicza, im bardziej same cele są ambitniejsze. Poza tym samo definiowanie sobie owych życiowych celów wiele się komplikowało. Przed wojną określała je i determinowała przynależność klasowa i środowiskowa. Każda grupa miała swoje cele wewnętrzne. Awans z grupy do grupy marzył się tylko jednostkom bądź szczególnie uzdolnionym, bądź szczególnie ambitnym. Obecnie odpadły wszelkie bariery. Wszystko zda się stoi otworem.

Przed wojną droga ku stabilizacji życiowej, ku zdobywaniu pozycji zawodowej, materialnej itp. praktycznie oparta była o dom rodzicielski, system zależności od rodziców. Dziś realizowana jest poza tym domem, niezależnie od jego mo żliwości i chęci. Pulap życiowy, jaki osiągnęli ojciec i matka nie stanowi celu. Minimalizuje to rolę domu w samym procesie wychowawczym. Przestaje on być wzorcem i oparciem.

Po wojnie panujący i wyłączny model osobistego celu życiowego związany był ze zdobyciem pozycji społecznej, przy czym towarzyszący jej standard materialny był raczej sprawą obojętną. Dysproporcje były tu małe. Wystawy nie kusiły rozlicznymi możliwościami kupna. Po ulicach nie jeździły prywatne samochody. W sklepach nie było luksusowych lub zagranicznych towarów. Na urlop nie jeździło się za granicę, tylko na wczasy pracownicze — za pół darmo.

Zarazem szybki awans, zdobycie szanowanego zawodu czy dobrej w tym zawodzie pozycji, stanowiska związanego z kierowaniem ludźmi, wytwórczością, decydowanie o czymś lub o kimś — były rzeczą łatwą, możliwą do szybkiego osiągnięcia. Cele osobiste łatwo dawały się powiązać ze społecznymi, o których to ostatnich mówiło się dużo i na codzień.

A teraz... W sferę życiowych marzeń wkroczył standard luksusu w. Auto, lodówka, telewizor,

sposób doraźny, od zaraz. Bo wiem marzenia o luksusie bynajmniej się w „Egzotycznej” nie ziszczają. Co najwyższe chwyla się jego namiastki. Jest to postawa czysto negatywnej rezygnacji z osiągania celów społecznie zalecanych, ale nabyt odległych i wymagających znacznego wysiłku.

Naszą jest winą: rodziców, szkoły, sądów dla nieletnich, prasy, że tworzą generalnie negatywny klimat moralny wobec przejawów tych stanów depresji, niejako odbieramy im charakter przemijalności, wyuczamy w pacjentach poczucie przekroczenia na zawsze jakiejś bariery dzielącej ich od społeczności tych, co się uczą pracują i solidnie żyją. Utrwalamy przeświadczenie o ich inności i wyobcowaniu.

Oczywiście, większość tych młodych ludzi, którzy byli przedmiotem naszej dyskusji, kawiarnianych lalek, członków „paczek”, obiboków — wpada z wyciekami w normalną koleinę życiową.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nie złego się nie stało. Bo to wejście w normalne życie, wejście związane zazwyczaj z założeniem rodziny, ergo z wszystkimi troskami i koniecznościami, jakie ten fakt za sobą niesie — odbywa się już teraz często jako akt rezygnacji. Ci młodzi ludzie mają gorszą pozycję startową i szereg złożeń nie do odrobienia.

Jakaś częśćka środowiska „Egzotycznej” pozostaje w przestępczym lub w półprzestępczym światku. Ale tego nie zmieni mo żenie zakazów wobec całego środowiska.

CZY „EGZOTYCZNA” JEST EGZOTYCZNA?

Czy interesujące nas grupy młodzieży są „zbuntowane”, „rozczarowane”, „sfinksowate”?

Rozczarowane? Zapewne tak. Staralem się to zanalizować już powyżej.

tartymi pojęciami panującymi w świecie dorosłych. Nie powiadają też oni, że „tamta moralność” jest zła czy nieprawdziwa, a oni wyzwalają się z niej, coś odrzucając. Nie mówią oni, że są na swój sposób moralni, czy „moralniejsi”. Akceptują poglądy opinii publicznej „dorosłych” na swoją amoralność i przyznają się do niemoralności zarówno wtedy, gdy znamiona tejsze są rzeczywiste, jak i wówczas, kiedy w rzeczywistości w ich postępowaniu nie ma nic niemoralnego, kiedy tak się tylko wydaje ich ciotkom i sąsiadkom czepiącym natchnienie z niedzielnego kazania.

A istnieje przecież system filozoficzny i etyka, która winna mieć dla nich walor atrakcji — jest ona bowiem polemiczna w stosunku do poglądów panujących w ich domach, a czasem i w ich szkołach, bardziej tolerancyjna dla niektórych elementów ich fasonu i poczynań, przerzucająca system zakazów ku sprawom istotnym, pozostawiająca im ich kawiarnie i szpilki, szminki i chłopców. Dalej: co prawda etyka ta operuje systemem nakazów nie budzących entuzjazmu bywałców „Egzotycznej”, ale przecież przelimumacalnych na konkrety, które mogłyby być i dla nich atrakcyjne.

A więc nadal konsekwentnie występuję przeciwko propozycjom pokrewnym systemowi rozumowania tradycyjnego, drobnomieszczańskiego domu, współwinnajacy całego zła, czyli receptom typu: i dyżury nau czycielskie w kawiarniach, godziny policyjne dla uczniów, kontrolowanie wagarowiczów przez milicję i inne akcesoria pedagogiki zakazów.

Występuję przeciwko udzielnianiu młodzieży, przeciwko zamachom na ich poczucie wolności, przeciwko stawianiu tamy ich dążności do dorosłości.

Czy po to istnieje marksistowska teoria pedagogiczna, żeby w każdym konkretnie od

były grzeczne, żeby dziewczynki nie puszczały się, a chłopcy nie bili się po buzi, nie kradli i nie spędzali życia na bezsensownym bez ruchu.

Wylania się tu kwestia, którą w skrócie można sformułować: socjalizm a „Egzotyczna”.

Pojęcie i idea socjalizmu nie jest klientom takich kawiarni ani wroga, ani nie wroga, ani bliska, ani daleka — jest po prostu obojętna. Toteż podrzucenia punktu oparcia nie wyobrażam sobie, jako przyjęcie działania ZMS do kawiarni i oświadczenia: „Chodźcie, przy jacie, będziemy razem budować socjalizm i w tym celu wstąpicie do ZMS”. Gdyby klientom „Egzotycznej” skłonić do rozmowy o socjalizmie, gdyby przewidywać automatyczne wyłączenie się ich w momencie, gdy usłyszysz słowa znamionujące dla nich nudną abstrakcję, będącą liturgią oficjałek — zadaliby szereg pytań: co to jest? Idea masowego ułodkowania ludzkości? Ogólne pojęcie, w którym mieści się wszystko, co prasa i szkoła zaleca, a nie mieści się wszystko, co prasa i szkoła gani? Zaklecie? Na ogólna dla sumy otaczających nas konkretrów?

Wydaje mi się zbędne stawianie im takich pytań i udzielanie jakichkolwiek odpowiedzi. Nie można niczego zdzielać rzucaniem syntetycznej idei. Przeciwnie trzeba doprowadzić do kolejnej afirmacji szeregu cząstkowych konkretrów, których ilościowa suma da się uogólnić i nazwać.

Środowisku „Egzotycznej” warto by powiedzieć, że nie wszyscy dorośli ludzie uważają, iż szesnastolatek nie ma prawa do maksymalnej realizacji swojej wymarzonej dorosłości już, natychmiast, kiedy tylko poczuje po temu ochotę. Przy okazji o dorosłości można powiedzieć, że nie wszyscy ludzie uważają, iż jak się ma szes-

Atom zaczął robić karierę ostatnio również i w dziedzinie sztuki. Nasza młoda proza próbowała tym razem nadążyć za współczesnością i zainteresowała się nowym gatunkiem fantastyki, opartym na założeniu: co by było, gdyby broń atomowa, zamiast być powodem zwolnienia licznych konferencji, została wykorzystana do unicestwienia życia na ziemi.

Wizja wojny atomowej może być dla twórców połączająca z dwóch względów. Po pierwsze, dużą rolę grają w tym wypadku cele publicystyczne. Nie dziwnego zresztą, trudno byłoby się nawet od nich odżegnywać. Drugim powodem zainteresowania się sztuki problematyką wojny atomowej jest natomiast z pewnością dostrzeżenie szansy artystycznej eksploatacji sytuacji zupełnie nowych. Kaidera pociągnęła druga możliwość. Skusiła go oryginalność pomysłu, szansa dokonania powieściowego eksperymentu.

Wojna atomowa nie jest u Kaidera bynajmniej apokaliptyczną wizją zniszczenia. Pokazana została od strony reakcji psychologicznych załogi jednego z czołgów, z rozkazu dowództwa przeby-

wającej przez dwa dni w małym miasteczku. Nie mając bezpośrednio styczności z wrogiem, ludzie ci przeżywają ataki lęku przed nieznaną bliżej formą śmierci. Paraliżuje ich strach. Wszystko ma posmak nonsensu, jeśli wziąć pod uwagę możliwość zagłady świata.

Lęk mija dopiero wówczas, gdy czołg wyrusza z miasteczka. Przestaje wreszcie padać lepki deszcz (po wybuchach atomowych) i wtedy właśnie to następuje: „świat rozkłada się na atomy, materia przybiera pierwotny kształt“.

Wróćmy jednak do świata, zanim przybrał on postać pierwotnej materii. W czasie pobytu w Endesdorfie ludzie właściwie nie mają co robić. Jak zwykle w takim wypadku — zaczynają myśleć.

Sprawy nurtujące ludzi wojny atomowej udostępnia nam Kaider przy pomocy monologu wewnętrznego. Rozważania te stają się chwilami po prostu antywojenną publicystyką i to w uproszczonym wydaniu. Czasem dotyczą problemu Życia i Śmierci i wtedy są — nieestety — rozpaczliwie naiwne.

Sunday uporczywie zadaje

sobie pytanie: czym jest śmierć i czy potem coś jest czy też nic nie ma. Śmierć ma dla tych ludzi być równoznaczna z zagładą całego świata. Stąd próba rozdmuchania problemu do rozmiarów kosmicznych. Człowiek zagrożony śmiercią nie przywiązuje jednak napraw-

kującej punkty. Czołg wyrusza w góry. Załoga odzyskuje wiarę w ocalenie. Ludzie zaczynają snuć plany i marzenia. I nagle wybuchają bomba atomowa. Sama konstrukcja tej sceny przypomina nieco scenę końcową z „Myszy i ludzi“ Steinbecka. Lennie marzy tam o

niego. Scena jest bardzo ryzykowna, ociera się o melodramat, ale ratuje ją przed nim jej metaforyczność. Nie mam bynajmniej zamiaru porównywać Kaidera ze Steinbeckiem na niekorzyść Kaidera. Chodzi mi o udowodnienie, że tragizm śmierci u tego pierwszego jest pozorny, że metoda, którą wybrał jest metodą niemal pozaliteracką. Pod wpływem zdania, że „świat rozkłada się na atomy“ drszczy, wprawdzie może przejść wzdłuż kręgosłupa, ale nie będzie to osiągnięciem sztuki pisarskiej Kaidera, ale raczej uświadomieniem sobie możliwości spełnienia się czegoś takiego w sferze rzeczywistości.

Niektóre postacie w powieści są typowo „programowe“. Odnosi się to przede wszystkim do „pacyfisty“ Kramera i szwarczaka — Niemca Siebego. Siebe reprezentuje militarystę w wydaniu demonicznym. Wojna jest jego żywiołem. Scena, w której Niemiec dyskutuje z burmistrzem na schodach daje autorowi możliwość publicystycznego przeciwstawienia dwóch postaw: militarysty i pacyfisty. Następnie Siebe strzela do Kramera, aby zamiarom autora stało się zadość.

Publicystyka nie tkwiła chyba w założeniu powieści. Po prostu Kaider uważa, że nie powinien jej pominąć, upychał ją, gdzie się dało.

Warto jednak zastanowić się również nad tym, czy sam temat nie krył w sobie pewnego niebezpieczeństwa. Momenty lęku przed śmiercią występują chyba we wszystkich literackich obrazach wojen. Tym co różniłoby wojnę atomową od innych, byłaby powszechność zagłady. Kaider ograniczył się do obrazów śmierci typowych dla wojny atomowej. Wojna, przedstawiona kameralnie, jest dla niego lękiem. Jednocześnie konkretyzacja wojny, oczywistość faktu, że nic już po niej nie może nastąpić, u niemożliwia metaforę. Powszechność zagłady jest zresztą tylko hipotetyczna. Dla czytelnika ginie tylko kilka osób, występujących w powieści. Powieść Kaidera jest powieścią o psychozie, towarzyszącej wojnie i nie tylko wojnie. Nie mamy do czynienia z wojną atomową. Nie pomoże tu nawet lepki deszcz. Mamy do czynienia z wojną autora z tematem. Wojna, którą musiał przegrać.

Wojciech Kaider, Wyd. Łódźkie 1959, „Śmierć jest światłem“.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Śmierć jest światłem

dę wagi do tego, czy świat będzie dalej istniał, czy też zginie wraz z nim. Jego śmierć jest równoznaczna bowiem z zagładą świata. Momentowi zagłady próbuje Kaider nadać charakter swo-

ich królikach, nie wiedząc, że niemal o jego głowę ociera się lufa pistoletu. Jest to dla czytelnika jakaś konkretyzacja pojęcia śmierci. Wie on, że ma zginąć bliski mu świat Len-

TADEUSZ PAPIER

Wymierający KUGLARZE

Nareszcie na widowni śmiech! Autor wzruszony, reżyserzy wzruszeni, aktorzy wzruszeni... Aktorzy? Nie wszyscy. Część z nich tylko statystuje temu ogólnemu zbrataniu widowni i sceny. Kilku dobrych aktorów kłania się, bo tak wypada. No, bo dla czego się kłaniać? Ich role są w tej farsie niekome. Role — a nie funkcje.

Zacznijmy więc od tych, którzy grają. Właściwie zaczynamy od ról, które autor zachęcał napisać. Tradycje serwilizmu wobec silniejszych są trane w naszym społeczeństwie. Jeżeli trójka głównych bohaterów Skowrońskiego ma grubo po pięćdziesiątce, ten serwilizm jest zaprawą czy dużym doświadczeniem. Był demonstrowany wobec niejednego pana. Nic więc dziwnego, że

bohaterowie Skowrońskiego i pięknie deklamują i są cudownie lojalni i wszystko im się podoba.

Skowroński, wyznaje, że będąc zmuszony operować „łatwym śmiechem“ oparł całą rzecz na ogranych pomysły starej farsy sprzed lat kilkudziesięciu. Chciał przyłapać swoich bohaterów w życiu prywatnym. W sytuacjach takich, w których zostana zmuszeni do zdjecia maski codziennej obłudzie.

Jeżeli tak jest jak powiada pisarz niemiecki Reinhold Schneider, że „przynajmniej największych przewrotów jest zawsze zmiana sposobu myślenia“, to niestety (to westchnienie odnieść należy do polityka, a nie do krytyka teatralnego) bohaterowie Skowrońskiego pozostali tacy sami, kiedy z równym zapalem czapkowali

przed panem starostą (jeszcze wcześniej przed urzędnikiem carskim), jak obecnie przed sekretarzem rady narodowej. Podpatrzeć to wymierające pokolenie współczesnych kuglarzy, przyłapać ich w życiu prywatnym, ukazać ich zakłamanie (jeden iga „z wdziękiem, drugi wulgarnie, tępo, grubo, trzeci z fantazją...“), ośmieszyć... ba, w tym cała rzecz!

Intryga nie jest zbyt skomplikowana. Ojcowie odmawiają zgody na małżeństwo swych dzieci nie zdając sobie sprawy, że matrymonium consummatum est, nie tylko fizycznie ale i prawnie. Ten sam chwyt zastosował autor z „czarnym“, z tą tylko różnicą, że wyjaśnienie roli Mr Jamesa Jeffersona (jako delegata i jednocześnie zięcia) ma stanowić punkt kulminacyjny zabawy.

Oczywiście, nie jest grzechem wyciągać te same odwieczne motywy farsowe. W „Kuglarzach“ nie trzeba do niczego dochodzić, wszstko jest rozwiązane z góry nikt nie martwi się nieporozumieniami ojców. Rola tych ostatnich sprowadza się przede wszystkim do tego, że odsłaniają oni na każdym kroku swoje najtajniejsze „ja“. Komedia Skowrońskiego ma jedną niezaprzeczalną zaletę: dialog. Każda niemal kwestia demaskuje bohaterów. Ale jest to jednocześnie dialog, któremu nie można rokować długiego życia. Ukryte w słowach aluzje, zwroty wybrane zrecznie ze współczesnego języka sloganów politycznych, które w ustach kuglarzy nabierają osobliwego smaczku, odnoszą się do atmosfery dzisiejszego dnia. Jutro mogą być już całkowicie niezrozumiałe. Ale jest to przecież zabawa „na dzisiaj“. Nie trzeba się zresztą w tego rodzaju sztuce doszukiwać specjalnych „pogłębień“. Analiza współczesności nie sięga i nie może sięgać w „Kugla-



Marian Nowicki (baron) i Zygmunt Zintel (ojciec)



Barbara Horawianka, Wanda Chwiłkowska, Bogdan Mikuć, Zenon Płoszaj i Wojciech Piłarski (Mr. J. Jefferson)

zach“ zbyt głęboko, jest ona wyłożona dosyć konwencjonalnie. Zakres środków farsowych, zademonstrowanych w sztuce dzięki współpracy doprawdy świetnych ojców (Zintel, Nowicki, Malawski, zwłaszcza Nowicki) oraz — nie dobrego mgr Prota — Matera (recepcja — propaganda), który okazuje się kuglarzem już współczesnego chowu i trochę nieprawdopodobnym „zbyt amerykańskim“, ale do zabawy można go przyjąć — wystarczy do obudzenia widowni. Jedyna postać w tej sztuce, wyjęta jakby z innego albumu nie potraktowana w konwencji farsy, bardzo dobra Barbara Rachwałska (jako tesciowa i jako aktorka) psuje nieco umowność zabawy, lecz to już sprawa autora. Murzyn — W. Piłarski — świetny.

Dwa zdania o „nie grających“ Do nich należą mło-

dzi. Pełnią oni w sztuce zasadniczą funkcję — m. in. wokół nich zasadza się intryga, ale autor nie pozwolił im „zagrać“. Bardzo żalowałem świetnej Horawianki i uroczej Chwiłkowskiej (proszę darować epitetę) i ich partnerów (Mikuć i Płoszaj). Sytuacje, w których występują młodzi, ilustrują bieg zdarzeń, ale skala ilustracji jest zawsze bardzo szeroka. Tutaj możliwości pokazania swojego kunsztu okazały się bardzo niewielkie.

Lecz przecież autor osiąga na tym odcinku niezamierzony (wzmoim tak przypuszczając) efekt. Dopomogła w tym na pewno reżyseria. Mimo swoich śmieszności i nałowności świat młodych jest prawdziwszy niż świat kuglarzy. Co prawda cienka, anemiczna, ale wyraźna kreską w postawie młodych jest prawdziwa odczytać protest przeciwko zakłamanu starych.

Mimo że wszystko jest farsą i zabawą.

Czy prapremiera nowej polskiej komediodfarsy jest udana? Na pewno. Czy sztuka może być potraktowana jako jaskółka nowych wydarzeń na tym polu? Nie wiem.

★
Zdzisław Skowroński — „Kuglarze“ komediodfarsa w dwóch aktach. Prapremiera w Teatrze Nowym w Łodzi. Reżyseria: Kazimierz Dejmek i Jerzy Antczak, scenografia: Iwona Zaborowska.

Zdjęcia:
GERARD
PUCIATO



Plutonowy Kwiatek w akcji

Jest rok 1938. Prowincjonalne miasto wojewódzkie posiada gimnazjum, do którego uczęszczało wiele znakomitości, m. in. Stefan Zeromski i ówczesny premier Sławojski Składkowski. Panowie licealiści z tego właśnie gimnazjum, podzielili się, zależnie od światopoglądu na trzy wielkie obozy: demokratów, arystokratów i sportowców. Arystokraci i demokraci walczyli przy pomocy krzyku („bić chamów!”, „bić szlachtę!”) na intelekt (dowodzenie naukowe, z którego wynikało, że albo jedni, albo drudzy stanowią zakale ojczyzny i powinni zniknąć), walczą wręcząc przy użyciu broni ciężkiej (krzesła, kosze na śmieci, kreda i inne sprzęty szkolnego użytku, jak kalamarze, pomoce naukowe itp.). A sportowcy wynajmują się na przemian do tego i tamtego.

Dwóch wybitnych arystokratów — Książę i Buczacki odbyło krwawy pojedynk na szable o kobiecie, w wyniku którego Buczacki został publicznie ośmieszony. Buczacki przypisał zemście całej klasie. W tym celu spotyka się z plutonowym Kwiatkiem, miejscowym policjantem, który również pata nienawistnie do młodych. Namawia Kwiatka, aby w asyście „kilku ludzi” był obecny określonego dnia po południu na skwerze koło szkoły.

Niewielki skwer, starannie utrzymany przez władze miejskie, wcisnął się nieśmiało pomiędzy szkołę i pałac księcia biskupa. Pod rozłożystymi konarami stały wydłużone ławki, spokojny przystanek dla emerytów, którzy wyraźnie upodobali sobie tę zieloną plamę wśród szarych kamienie. Po środku zachwycał kolorami kwiatów okrągły kłęb, wokół świeża jeszcze trawa, pckryta złotymi gwiazdkami liści. Kiedyś, przed wielką wojną, nie było skweru. Władca tych ziem jedyny i niepodzielny, car Wszechrosji, kazał w tym miejscu wybudować baniastą cerkiew. Ale do tego kościoła ludzie nie chcieli chodzić, chodzili — jak od wieków — do pobliskiej katedry. Cerkiew rozebrano po wojnie, w miejscu złoconego ołtarza posadzono kwiaty.

Plutonowy Kwiatek i jego podwładni ukryli się w bramie komisariatu, stąd, jeżeli tylko dzień był pogodny, widziało się dokładnie cały zieleniec. Na lawce, opodal kłombu, odmawiał paclerze siwy, pomarszczony ksiądz-emeryt. W ciszy jesiennego popołudnia, zasnutego lekką mgłą, słychać było tylko dźwięki starego zegara katedralnego, który wybijał kwadrans.

Punktualnie o godzinie czterastej pojawiła się od strony szkoły długa kolumna młodzieży. Klasa za klasą maszerowały w regularnym szyku czwórkowym. Na czele całości — komendant szkoły — Lutowiecki, wystrojony w reniferowe rękawiczki, na czele każdej klasy — jej komendant. Granatową brać, umundurowaną zgodnie z przepisami Ministerstwa Oświecenia Publicznego i Wyznań Religijnych, poprzedzała grupa koszynerów.

— Kogo moje piękne oczy widzą — zasyczał plutonowy Kwiatek — są ci zasrańcy...

Za koszynerami maszero-

wał w towarzystwie panów ubranych na modę fine de sjeclcu, olbrzymiego wzrostu szlachcic, w stroju narodowym z roku 1863. Był to znany w tych stronach bohater — Dionizy Czachowski.

— Co się tu robi? — kapral Kowalik szturchnął plutonowego Kwiatka.

— Jakies przebierańce, panie kapralu — wyjaśnił niepytały szeregowiec Sobieszek — nie widać, żeby zagrażali porządkowi. Ale chcenc te gimnazysty!

Tymczasem barwny korowód, ozdobiony krakowskim strojem, barwnymi proporcami harcerzy, ustawił się sprawnie w czworobok, zamknięty z jednej strony murem, który oddzielał skwer od ogrodu księdza biskupa. W ten sposób główny powód całej uroczystości — ukryte wręczenie w ziemi szaletu, znalazł się idealnie posrodku. Ow szaletu, inwestycję nie tyle może najważniejszą, ile rzadką, budowano już prawie dwa lata, co usprawiedliwiało ogólnie niecierpliwość. Ostatnio jednak, trzeba to przyznać, na skutek apelu pana premiera, który wezwał naród do wszelkich porządków, dyskretna budowa była już na ukończeniu.

Na dach szaletu wskoczył lekko Książę. Zwyczajem wojewody Głowosza rzucił niedbale rękawiczki do głębokiego cylindra, zajął dy skretnie do środka, jakby spodziewał się znaleźć tam co najmniej ślągawkę. Komendant szkoły poderwał szereg na „bacznosc”.

Kwiatek nadstawił uszu. Przypominał teraz — wyża który poluje na upatrzonego, w ustach — służbowy gwizdek w lewej ręce fasowany specjalnie notes, w prawej gumowa pałka. Policjantów oddzielała od młodzieży ulica Wesola, wąska, wyboista, zabrukowana kocimi łbami.

— Uważać teraz! — szepnął ostro plutonowy — w razie czego obstawić wyloty i gwizdać na pomoc!

Książę chrząknął kilkakrotnie i podrapał się nerwowo za uchem. Wzdłuż szeregów przeleciał tłumiony śmiech — był to ulubiony gest dyrektora Jelenia.

— Szanowni obywatele i ty droga młodzieży polska — Książę rozpoczął przemówienie cichutko, prawie szepem — nie często jest dane człowiekowi przeżywać chwilę tak wzniosłą, tak konstruktywną i tak bardzo związaną z naszą ideologią — przy ostatnich słowach głos mówcy przybrał na siłę — przeciętny obywatel, dobry Polak, w codziennym trudzie ciągnie Polskę wwyż, choćby mu nawet w krzyżach trzeszczało. Przeciętny obywatel nie dostrzega wśród trosk dnia powszedniego owych symboli swojego trudu. Taki właśnie symbol mamy tutaj oto przed sobą...

Mówca przerwał na chwilę, nad szeregi młodzieży, która zaczynała całą sprawę traktować poważnie, zawisła cisza. Setku oczu wpatrywały się w ów symbol trudu codziennego.

— Gada jak sam pan wojewoda — Kwiatek usłyszał szepł funkcyjarsza polieji

w stopniu szeregowca — brak punktu zaczepienia, panie plutonowy!

— Głupiecie, Sobieszek nie macie jeszcze doświadczenia, to się zawsze tak zaczyna, cacy, cacy, a na końcu komuna, albo endecja.

Książę odchylił głowę lekko do tyłu i przeniósł się w narodową przeszłość.

— My, Polacy, jesteśmy przede wszystkim żołnierzami. Pod Grunwaldem, Oberłynem i Cecora, pod Dubienką i Stoczkiem, pod Malogoszczą, nad Nidą, Stochodem, Styrem, na przedpolach Warszawy rosła przez wieki nasza siła. Dzieje wojska — powiedział wódz — to dzieje rozkazu. A czymże są dzieje całego społeczeństwa, jeśli nie dziejami jego przywódców, ich wskazówek, ich rozkazów? Obywatele naszego miasta i droga młodzieży! Oto wolno nam to dziś powiedzieć, że pan premier jeszcze jeden wielki uczeń naszej szkoły, oto wolno nam to dziś powiedzieć, że jeszcze jeden nasz wielki kolega, starszy kolega z ławy szkolnej, wydał konkretny i znanieny rozkaz: ruszać się, robić coś, nie rdzewieć! Spytam was krótko, obywateli naszego miasta, czy wykonaliście rozkaz?

Lutowiecki dał znak. Kilkaśet głosów skandowało zgodne.

— Meldujemy wykonanie rozkazu panie generale!

Książę milczał przez dłuższą chwilę, wyraźnie wzruszony.

— Jestem szczęśliwy — przemówił znowu cicho, skromnie — jestem bardzo szczęśliwy panowie i nieobecne tu panie, że dane mi było przeżyć wielkie wzruszenie, wzruszenie, które może przeżyć tylko członek społeczeństwa pracowitego — zdyscyplinowanego, społeczeństwa skazanego na wielkość. Dzięki ci, droga młodzieży dziękuję państwu — skłonił się szermancko przygodnie zebranemu tłumowi rozważanych ludzi — to wszystko chciałem powiedzieć otwierając ten przybytek wyższej użyteczności publicznej w naszym mieście.

Rozległy się brawa. Dwaj zeszytniali z wrażenia pier wszoklasiści wkroczyli na dach szaletu. Na wyciągniętych przed siebie rękach nieśli aksamitną poduszkę. Książę ujął zgrabnie wielkie krawieckie nożyce i przeciął nimi błękitną wstęgę. Oba wejścia — „dla pań” i „panów” stanęły otworem Komendant szkoły wznosił okrzyk.

— Hip, hip.

— Hurra!

— Hip, hip!

— Hurra!

— Hip, hip!

— Hurra, hurra, hurra! — krzyczeli wszyscy — młodzież, Książę na dachu szaletu, zebrani ludzie, a nawet i policjanci z plutonowym Kwiatkiem na czele. Zagrzmiły werble harcerskie, zadźwięczały triumfalnie fanfary. Przed szeregi harcerzy wyskoczył drużyna nowy.

— Byczo?

— Byczo!

— Kaczo?

— Kaczo!

— Indyczo?

— Indyczo! — piszczały cieniutko Jelenie, Orly i Zbiki.

Na dachu szaletu pojawił się teraz Miazga witany gorącymi brawami. Uroczystość nabierała rozmachu, bezustannie napływali nowi gapiowie. Na dachu błysnęła lekko kosa ustawiona na „sztorc”, zabrzęczały złote cekiny u krakowskiego pasa. Miazga uściśnął dłoń Książę, szepnął mu do ucha — „ale zgrywa” — zamiótł następnie betonowy dach pysznym piórem pawia, za co otrzymał dodatkową porcję braw.

— Bracia i siostry! — rozpoczął miękkiem basem — prosty lud wieśniaczy gładkiej mowy niezwyklej, przecie jednak cieszy się tu z wami pospół, bo Polska to wielka rzecz! Buduje ją każdy, mały i wielki, ciemny i uczony, buduje i nasze miasto. My chłopie lubimy prosty rachunek. Jeżeli każdy uczęszczający tu obywatel zostawi w tym oto przybytku, liczymy skromnie, dwadzieścia deka dobrego ekstraktu, a mamy prawo tak przypuszczać, bo tu przyjdą ludzie raczej dobrze odżywieni, u innych wchodzi tylko w grę nadzwyczajny wypadek, jeżeli nawiedza jących ten przybytek obywateli będzie, liczymy skromnie, że czterdziestu dziennie, a mamy prawo tak przypuszczać, bo więcej chyba nie da rady zapłacić z powodu kryzysu, to na jeden pracowity dzień, otrzymamy” dziesięć kilo, a na miesiąc trzysta kilo doskonałego nawozu, którego na wsi brak. Będzie to jeszcze jeden dowód jak bardzo dba nas premier, aby żaden wysiłek ludzki nie szedł u nas na marne! Bracia i siostry!...

Rozległ się ostry, bulgocący świst służbowego gwizdka. Z bramy przy ulicy Wesolej wystrzelił jak z kata-

pulty plutonowy Kwiatek, ■ za nim reszta policjantów. Tłum przypadkowych uczestników wielkiej uroczystości otwarcia przybytku wyższej użyteczności, pierzchl natychmiast we wszystkie strony. Plutonowy Kwiatek wydawał rozkazy, Wybiła jego godzina. Świadomość zemsty tak bliska, tak pewna podniecała go ale i uspokajała równocześnie. Kto jest najwybitniejszym wywinowcą w mieście, Kto dorówna wywinowcy Kwiatkowi, przyszlemu sierżantowi na państwowym estacie? Kto? Nie ma takiego. w jednej ręce trzymał teraz gwizdek służbowy, drugą, uzbrojoną w pałkę, wskazywał młodzież gestem Książęcia Józefa.

— Lapać tych przebierańców!

— Tak jest panie plutonowy — policjanci z niezwykłą wprawą, niczym cyrkowcy, przechodzili z postawy zasadniczej, niezbędnej przy odbieraniu rozkazu, do szybkiego biegu. Nie musieli się jednak zbyt spieszyc. Ponad dwustu gimnazjalistów zderzało ze strachu. Rozdygotane nogi powrastały w ziemię, skolatanie mózgi daremnie wydawały rozkazy ucieszki. W szeregach pierwszoklasistów rozlegało się coraz głośniejsze pochlipywanie. Tak efektownej akcji nie notowały od lat kroniki policyjne. Kwiatek zbliżył się do wystraszonego Miazgi.

— Na pupę! wypiszemy ci twoich braciaków i siostry!

— O — z tłumem aresztantów wychyliła się uśmiechnięta twarz Lutowieckiego — to pan umie pisać!

Nim plutonowy Kwiatek, przyszył sierżant, zdołał się zorientować w sytuacji, Lutowiecki znikł w tłumie.

(D.c.n.)



TELEWIZJA

JAK SZKOLIĆ KADRY DLA FILMU I TELEWIZJI?

Oto pytanie, jakie stanęło przed III Kongresem Szkół Filmowych i Telewizyjnych

Musimy się pochwalić. Nasz artykuł dyskusyjny o problemie kadry pracowników telewizji (zastanawialiśmy się tam, kto ma te kadry kształcić i jakie to powinno dać rezultaty) został w dużych fragmentach przedrukowany przez specjalistyczny tygodnik „Radio i Telewizja”. Problem widać jest naprawdę istotny, bo liczba odbiorców programu wciąż rośnie, a jakość audycji nie zawsze stoi na należytym poziomie, szczególnie audycji lokalnych.

I oto dziś w południe w sali Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi nastąpiło uroczyste otwarcie III Międzynarodowego Kongresu przedstawicieli szkół filmowych i telewizyjnych. W kongresie poświęconym aktualnym problemom sztuki operatorskiej (poprzednie dwa kongresy zajmowały się I — reżyserią, II — rolą aktora w filmie), bierze udział blisko 50 naukowców wykładających w 12 szkołach krajów europejskich i pozaeuropejskich. Przybyli również liczni obserwatorzy.

Rzecz nie dotyczy wyłącznie filmu, filmu w pojęciu dziś już tradycyjnym, filmu przeznaczanego do projekcji w kinach. Telewizja stała się obecnie jednym z najpoważniejszych odbiorców zarówno materiałów o charakterze reportażowym, publicystycznym, sprawozdawczym jak i przede wszystkim fabularnym. Telewizji (mówimy tu o całym świecie) nie wystarczy już to co się wyprodukuje dla kin, nie zadowala się ona i zadowalać nie może powtarzaniem na tysiącach ekranów starych filmów sprzed lat 5, a tylko takie na Zachodzie mogą być w TV pokazywane „młodsze” chroni bowiem konwencja autorska. Telewizja stała się więc producentem własnych filmów, otwierając tym samym ogromny warsztat pracy dla wielu ludzi, których kształca uczelnie

filmowe. Z jednej strony obserwujemy już i u nas duże zapotrzebowanie na wysoko-kwalifikowane kadry operatorów i reżyserów, z drugiej zaś trzeba pamiętać, że nowa muza telewizyjna ma swoje prywatne wymagania, które każdy adept filmu już wcześniej poznać powinien.

Tematem obrad narzuconym w pewien sposób przez programowy referat Stanisława Wohla jest sprawa szkolenia operatorów, określenie roli operatora w twórczości filmowej. Stanisław Wohl mówił na konferencji prasowej przed rozpoczęciem obrad: „Przedstawimy na tym spotkaniu nasz program. Niewątpliwie usłyszymy w dyskusji o programach innych szkół filmowych, o sposobie szkolenia operatorów i wywiążą się dyskusje, które będą się toczyły wokół doświadczeń wynikających z tej a nie innej metody pedagogicznej. Są to zagadnienia nie tylko o charakterze koncepcyjnym ale i materialnym. Prowadzenie praktyki w szkoleniu filmowym jest związane z ogromnymi nakładami finansowymi, to ekipa, to wymagająca kosztownej bazy technika...”

Niesposób nie docenić roli jaką mieć będzie ten kongres w dziedzinie wypracowania nowych, coraz lepszych, metod szkolenia przyszłych kadr naszego filmu i telewizji. Liczne dyskusje z najwybitniejszymi fachowcami (na kongres przybędą m. in. prof. G. Williams z Missoury (USA) i A. Groszew z Moskwy) wiele ciekawych projekcji filmów zrealizowanych przez szkoły Paryża, Rzymu, Pragi, Budapesztu, Moskwy, to wszystko ma na celu uczynienie jeszcze jednego wielkiego kroku naprzód w dziedzinie filmowej pedagogiki i dydaktyki, a więc za lat parę w dziedzinie tego co oglądać będziemy na małych i dużych ekranach. (m)

W tym tygodniu radzimy obejrzeć

Czwartek 26 maja — Dzień Matki. W związku z tym program otwiera specjalna audycja zatytułowana „Rekom mojej matki”, która zostanie nadana ze studia katowickiego o godz. 18.

Od 18.30 do 19 przerwa, potem Łódzka Kronika Filmowa. Program publicystyczny z Łodzi, Dziennik Telewizyjny z Warszawy i o godz. 19.50 kolejny program z cyklu „Wszyscy jesteście sędziami”

Po Polskiej Kronice Filmowej, która zostanie nadana o godz. 20.30 Telewizyjne Studio Literackie.

Piątek 27 maja. Zaczynamy o 17.50 programem dla dzieci, po przerwie od 19.30 kolejno: Dziennik Telewizyjny, reklama i film krótkometrażowy z Łodzi.



Ciekawsza pozycja nadana zostanie dopiero o godz. 20.15 — Teatr Telewizji Katowickiej pokaże bowiem ponad godzinne widowisko ze scenariuszem Kazimierza Strzałki pt. „Pensjonat Azyj”

Sobota 28 maja. O 17.50 reportaż szkolny z cyklu „Ciekawy zawód”, o 18.40 z cyklu „W krajach socjalizmu” obejrzymy „Migawki z Berlina i okolic”, o 18.55 — magazyn „Nie tylko dla pań”. Dziennik Telewizyjny, reklama i wreszcie o 20.20 film fabularny produkcji francuskiej „Przedstawienie galowe”. Film, dozwolony jest od lat szesnastu.

Po filmie jeszcze krótkometrażówka, ostatnie wiadomości i o 22.15 program rozrywkowy z Warszawy zatytułowany „Co kto lubi”

Tyle informacji programowych na dziś, wśród których — niestety — nie możemy wypunktować niczego szczególnie atrakcyjnego. Przy okazji raz jeszcze przepraszamy naszych czytelników za to, iż nie podajemy pełnego programu tygodnia od czwartku do czwartku. Wyjaśniliśmy już, że dzieje się tak na skutek poważnego „wyrządzenia”, z jakim musimy przygotowywać niniejszą kolumnę.

Ciekawostki telewizyjne

Duńscy psychiatrzy doszli do wniosku, że oglądanie programów telewizyjnych dodatnio wpływa na stan nerwowo-chorych, w związku z czym Ministerstwo Zdrowia zakupiło pewną ilość aparatów telewizyjnych, które umieściło w kinach

Z wiadomości tej wyciągnąć można dwa alternatywne wnioski: albo Dania ma kiepskich psychiatrów, albo — dobrą telewizję.

Jeszcze jedna wiadomość, która — jak to mówią — „daje do myślenia”. Jedną z dużych amerykańskich stacji telewizyjnych zadała swoim widzom pytanie „Jaki typ spikerki najbardziej ci odpowiada?” i z niejakim zdziwieniem dowiedziała się, że nie tylko większość kobiet ale i większość mężczyzn woli spikerki o naturalnym sposobie bycia nie lubi natomiast wampów i kociaków wszelkiej maści.

Być może kobiety powodowały się zazdrością, a mężczyźni dbałością o swoje kieszenie na wypadek, gdyby ten ukochany zaczęły naśladować telewizyjne „bóstwa” — fakt pozostaje faktem, Ciekawe, co działoby się



KUPIĆ, NIE KUPIĆ

Na peryferiach

W Bałuckim Domu Kultury rodzą się coraz to lepsze pomysły aktywizacji kulturalnej peryferii. Ostatnio na przykład zespół teatralny Domu Kultury odwiedził z „Żabusią” Zapolskiej świetlice szpitala im dra Babińskiego.

O działalności tego zespołu można by zresztą również napisać wiele dobrego. Terminarzy kierownika świetlicy stanowią chyba najbardziej przekonywujący dowód żywotnej działalności. Co ważniejsze imprezy organizowane w szpitalnej świetlicy



cieszą się powodzeniem nie tylko wśród pacjentów i personelu ale i wśród okolicznych mieszkańców.

Brawo „Polesie”

Mowa, rzecz prosta, o niedawno otwartym kinie „Polesie”. Otóż kierownictwo kina przy współpracy Komisji Kulturalno-Oświatowej Zarządu Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Filmowych w Łodzi rozszerzyło swoją działalność o prelekcje, konkursy i spotkania młodzieży zreszcie w Kolcach Towarzystwa Przyjaciół Łodzi.

Poza tym przewiduje się spotkania z popularnymi twórcami i aktorami filmowymi.

Naprawdę dobrze się stało, że znaleźli się ludzie, którzy zadbali o to, aby kino „Polesie” nabrało charakteru placówki kulturalnej z prawdziwego zdarzenia.

Trochę statystyki

W naszym mieście znajduje się 37 rejonowych wypożyczalni książek. Jeśli już bawimy się w wyliczenia, 22 dla dorosłych i 15 dla dzieci i młodzieży.

Owe 37 bibliotek posiadają ogółem 360 000 tomów a ruch czytelnicy wynosi ponad 660.000 osób rocznie.

W ciągu roku biblioteczni

miejskie wypożyczają 1.200.000 książek. Jeśli już bawimy się w wyliczenia, podajmy że z liczb niedużo znaczące wynika iż na jednego mieszkańca Łodzi przypada rocznie... dwie przeczytane książki.

No cóż powodów do zadowolonia raczej nie ma.

Warto zobaczyć

Tym razem możemy zalecić naszym czytelnikom ciekawą wystawę fotografiki eksponowaną w lokalu Polskiego Towarzystwa Fotograficznego (Struga 2). Wystawa nosi tytuł „Italia

jesienią”, a jej autorem jest znany dziennikarz i fotografik Olgierd Galdyński.

Polecamy zwłaszcza kapitalny cykl tematyczny „Włoscy przekupnie”.



(Dokończenie ze str. 7).

czucie grupowego istnienia lub chęć uzasadnienia go.

Czy znaczy to, że nie potrafią się oni wypowiadać? Nie. Wizytator Siegel cytował taką wypowiedź. Nieestety, cytował ją z dumą. Autorka kilku przytoczonych zdań klepie frazesy w stylu: „Nasza młodzież nie jest zła, ale czasem cyniczna i z tego wyrasta chuligaństwo”. Itd., itp. podobne banialuki, które nie mówią a tylko świadczą. Świadczą, że młodzież przepisują wyobrażenia o tym, jakimi są i jakimi być powinni, z uproszczonych kazań swoich ciotek. Ileż tu naszej prasowej winy!

Kiedy nie tak dawno byłem w wieku adeptów „Egzotycznej” nasze aktywo-zetempowskie obyczaje, bardzo odmienne od obyczajowości „Egzotycznej” były też podobne. Nie ma tu sen-

su żadna paralela. Nasz morderczyzm, pewna swoboda erotyczna, styl ubierania się — były tylko otoczką spraw istotniejszych. Nie sta nowily treści życia. Ale gdyby to wszystko działo się dziś i gdyby w widzeniu nas wyodrębniono tylko stronę wizuualno-obyczajową przydanoby nam kuratorów lub też pozamykano w zakładach poprawczych.

Niestety, że i ja pociotkuję — nie ma paraleli z „Egzotyczną”. Bo obyczajowości i stylowi życia „Egzotycznej” nie towarzyszy żadna „istota rzeczy”.

I o to chyba właśnie chodzi. Mało: tylko o to chodzi.

Wedle mego mniemania w dyskusji nazbyt zagubiono się zaś właśnie to, o co chodzi

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

Odgrają się

Przedstawiciele LOT, odgrają się, że na najbliższy czas szykują „Złotą karetę” Leonowa w reżyserii Jerzego Antczaka i z podobno znakomitą obsadą, oraz nowa „Kobry”

O ile — pamiętając szereg bardzo interesujących spektakli telewizyjnych reżyserowanych przez Antczaka — wierzymy w „Złotą karetę” i czekamy na nią z niecierpliwością (jako że naprawdę dobrych aktorów mamy w Łodzi niemało), o tyle nie bardzo mamy zaufanie do „Kobry”.

Poprzednie „Kobry” w łódzkim wydaniu skończyły się bowiem — niestety — mniej lub więcej kompletną kląpą.

Ta podobno ma być lepsza. Cóż, mówił Gribojedow ustami Czackiego: „Szczęśliwy ten kto wierzy — przytulnie mu na świecie...”

Starają się

Aczkolwiek nie jesteśmy miłośnikami nagłych przesunień w programie telewizyjnym, to z nieukierowanym zadowoleniem przyjeżdżamy do transmisji sztuki M. Gorkiego „Foma Gordiejew” w wykonaniu Teatru im. Wachtangowa, jaka mogliśmy obejrzeć w ubiegłym piątku.

Transmisja stała na całkiem niezłym poziomie technicznym. Podawane w przerwach streszczenia aktów były (a to — wbrew pozorom — zdarza się nie często) wcale rozsądne, słowem — wynieśliśmy pozytywne wrażenie

Sama sztuka nie należy do do najlepszych utworów Gorkiego. grana była za to — palec lizać!

Dziękujemy!



Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86. Tel. 24-78 * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 — zł. kwartalnie 12 — zł. * Redakcja nie zamawia reklam i nie odpowiada za treść * Prenumerata przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zamknięciem na „Odgłosy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 Z. 1994. V. 1960 r. R 5

**Najostrzejsze
ołówki
świata**

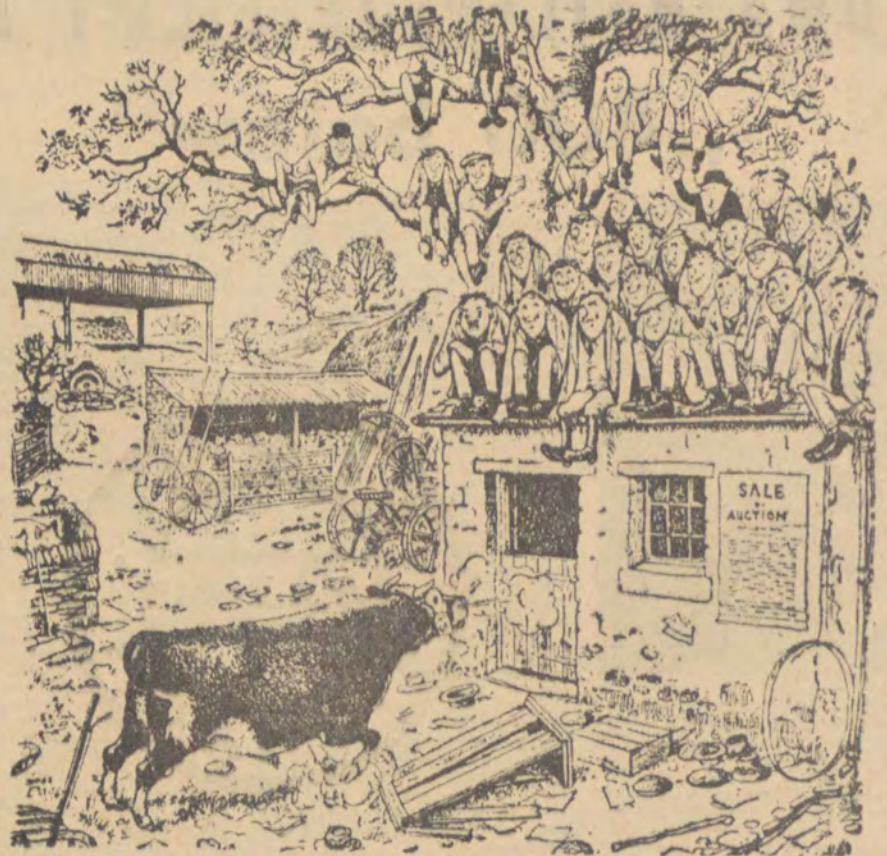
THELWELL

Znaczna większość współczesnych karykaturzystów korzysta z bardzo uproszczonych form plastycznych. Część poszła za przykładem wielkiego Steinberga i jego hasła „All in line” (wszystko w kresce), część po prostu uznala, że prostota rysunku ułatwia zrozumienie komicznej sytuacji. Zresztą — wszechwładność fotografii uwolniła rysowników gazetowych od dokładnego, udokumentowanego przedstawiania. A poza tym pośpiech dwudziestowieczny — nakazuje szybką reakcję na wydarzenia. Chcąc nie chcąc — dzisiejszy karykaturzysta musi zrezygnować z wypracowania

swoich konceptów, musi zadowolić się ledwo szkicem. Rysownik, którego dziś przedstawiamy jest wyjątkiem od tych zasad. Brytyczny Thelwell stał współpracownikiem „Puncha” i „Liliputa” — rysuje właściwie tak, jak to czynili jego poprzednicy sto lat temu. Thelwell czuje się bardzo silnie związany z tą starą szkołą angielskich karykaturzystów pracowitych i solidnych. Wszystko jest ważne w tych rysunkach precyzyjnie odтворzony kostium, anatomia postaci, każdy rekwizyt — nawet drugo — i trzecioplanowy. Stąd te żarty — są tak gęste (niemal — jak matkowska „Bitwa pod Grunwaldem”...), stąd też — wyraźne skłonności angielskiego humorysty do przedsta-

wiania scen masowych, dużych przestrzeni pleneru, lub ogromnych, pałacowych wnętrz. A jednak ów tradycjonalizm nikogo nie razi. Co więcej — na te karykatury uproszczonej do paru kresek — Thelwell staje się twórcą niezmiernie oryginalnym. Ostatecznie decyduje o tej świeżości — zestawienie tradycyjnych form z bardzo współczesnym typem humoru. Rysunki Thelwella niekiedy wesołe same w sobie, pozbawione karykaturalnych deformacji, nawet nieco przegadane — budzą śmiech w ostrych kontrastach do uzupełnienia tekstowego, podpisu, który pozostawia lakoniczny, zwięzły — a jakże dowcipny.

(Jerl)



Licytator: — Obiekt numer 64. Cena wywoławcza — 5 funtów. Kto da więcej?



Ciekawe, co powiedzą — gdy usłyszą, że nie mamy czym zapłacić.



— Skąd oni są — z kroniki filmowej, czy telewizyj?

THELWELL



Włóczęch Kostek

W „Kaciku” z dnia 10 kwietnia br. podaliśmy wiadomość uzyskaną z „Motoimportu”, iż w dostawach samochodów marki „Wartburg” nastąpi dwumiesięczna przerwa. Obecnie otrzymaliśmy informację, iż odbiorcy techniczni „Motozbytu” wyjeżdżają do Niemieckiej Republiki Demokratycznej już w dniu 25 maja, a więc pierwsze transporty „Wartburgów” po przerwie

powinny nadejść do kraju w pierwszych dniach czerwca. Wiadomość ta uleszy niewątpliwie tych wszystkich, którzy dokonali przedpłat na ten samochód, a którym „Motozbyt” gwarantował otrzymanie wozu w II kwartale br.

Warto się zastanowić

...nad sprawą przejazdów przez nasze miasto... Bez wątpienia, nasza Łódź nie cieszy się dobrą sławą wśród kierowców samochodów z innych miast. Gdy więc droga prowadzi tylko przez Łódź, przejazd przez miasto staje się naprawdę problemem. Waskie ulice, duży ruch pojazdów, zle nawierzchnie, słabe wyznaczenie tras przejazdowych przez miasto i słaby nadzór Budowlanego w swoich planach przewidział również arterie obwodowe, idące wokół miasta, które pozwalałyby przedostać się przez Łódź, z ominięciem centrum miasta. Budowę jednak tych

arterii odłożono na dalsze lata.

Czy wobec pogarszającej się z roku na rok sytuacji na tym odcinku, nie należałoby, wzorem innych miast, już dziś pomyśleć o budowie tych arterii wokół Łodzi, pozwalających szybko i bez kłopotu przedostać się przez nasze miasto pojeźdźcom, zdążającym z Wrocławia do Warszawy czy z Katowic do Gdańska?

Dlaczego?

...tegorocznej wiosny nikt nie pomyślał o pomalowaniu przejść dla pieszych na ulicach naszego miasta, jak to bywało w latach ubiegłych?...

...ulica Nawrot, posiadająca do niedawna świetną gładką nawierzchnię z kostki, po „wykopcach” Elektrociepłowni przedstawia obraz pożałowania godny i nikt się tym nie przejmuję?... Czyż ten kto rozgrzebał jezdnię nie powinien jej doprowadzić do pierwotnego stanu, tym bardziej, że chodzi tu o ulicę w samym centrum miasta i bardzo ruchliwą?...

W KRÓTKIE
MAŁA ENCYKLOPEDIA SAMOCHODOWA, która zainteresuje wszystkich!

NASZA KRZYŻÓWKA

1	2	3	4	5	6	7	8
R		9			10		
11	W	A	13			14	15
16	E	17	O	W	A	19	
K	18	19	20		21	22	23
24	A	25				26	
27		27			28		
29			30				31

Znaczenie wyrazów:
Poziamo — 1) Gra w piłkę na koniach, 3) Skrócona nazwa radiolokacji i przyrządów radiolokacyjnych, 7) Krzyk cieni i ostry, 9) Wielki obszar bezleśny i nieuprawy, 10) Szkoło powiększające, 11) Krzywa podobna do elipsy, 13) Port w Afryce Zachodniej, 14) Stolica państwa europejskiego, 16) Wyrób przeznaczony do sprzedaży, 17) Duża łódź, 18) Odnoga Wisły, 21) Część nogi, 24) Piękno, 25) Bok statku albo

12) Bogini mądrości, 15) Wnet, natychmiast, 19) Praca wiosenna w polu, 20) Imię meskie lub nazwisko matematyka norweskiego, 22) Zapora, 23) Dwie osoby lub dwie sztuki.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki

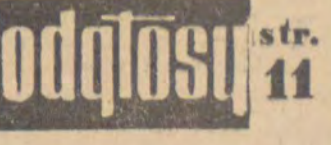
Poziamo — molo, prym, szkwał, stal, obóz kontenta, lilak, radio, dromader, uraz, targ, ustawa, agat, baka.

Pionowo — muskulatura Oslo, plot. muzykologia, akolada, Naktio, naród, rzut, etap.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Władysław Dydyna, Bełchatów, Liceum Ogólnokształcące.

2. Antoni Jarosz Łódź, ul. Narutowicza 39 m. 15,



DWA NAJLEPSZE FILMY Z MAJOWEGO REPERTUARU KIN:

„400 batów“



Jeśli „400 batów“ Francois Truffaut'a nie odbiega poziomem od innych filmów francuskiej „nowej fali“, to należy chyba sądzić, że nie jest ona tylko zjawiskiem efemerycznym i sensacyjnym. I można też sądzić, że fala ta przyniesie filmy i nazwiska, o których będzie się dużo mówić. Oto film zaskakujący świeżością trudną zresztą do określenia. Jednorazowe uczestnictwo w seansie „400 batów“ pozostawia głównie wrażenie nastroju i klimatu. Ponownie obejrzenie filmu przynosi wiele szczegółów i problemów umykających przy pierwszym zetknięciu.

„400 batów“ porusza problem w ostatnich czasach szczególnie aktualny — problem warunków

i wychowania dziecka, które kształtują jego widzenie świata i moralność. Przechyła matęgo Antoine'a — w szkole i domu — gdzie zajęci swymi sprawami rodzice nie dają mu ani uczucia, ani opieki, prymitywne rozrywki, samotne włóczęgi, doprowadzające do domu poprawczego — oto cała fabuła „400 batów“.

Wielokrotnie już analizowany konflikt świata dziecka i dorosłych potraktowano tu jednak w sposób nowy i odkrywczy. Nowość tę uprzytomnił nam może porównanie „400 batów“ z tytułową pozycją w polskiej literaturze, z „Dzieci ulicy“ de Sici. Nie chodzi tu przecież o bezpośrednie podobieństwo fabularne obu filmów, lecz o metodę przekazywania treści.

Film de Sici wstrząsa swym demaskatorskim obrazem świata, budowanym na zasadzie autentyczności. Jedynym ustępstwem de Sici, na rzecz jakiejś artystycznej bujki, jest tylko motyw konia — symbolu dziecinnych marzeń. Jeżeli jednak w „Dzieciach ulicy“ twórcy filmu jest niewidzialny, i z niego mówią ukazywane fakty — to w „400 batów“ Truffaut wyraża ciagle swą obecność. Osobowość twórcy, jego autorskie „ja“ stoi poza wszystkimi zdarzeniami.

Film Truffaut'a zaskakuje kontrastem między bezpośrednią narracją, a partiami zdecydowanie stylizowanymi. Jako przykłady stylizacji wymienić można pierwszą sekwencję, wprowadzającą w atmosferę paryskich ulic, niektóre fragmenty wędrowek Antoine'a, scenę jego „spowiedzi“ przed niewidzialnym rozmówcą w domu poprawczym, wreszcie ucieczkę chłopca. W tych scenach czuje

się ingerencję twórcy najbardziej. Warto zwrócić uwagę na elementy Truffaut'a: nawet w partiach narracyjnych stosuje syntetyczne skróty. Jeden gest, czy krótka scena wystarcza dla przedstawienia bardziej ogólnego problemu czy sytuacji (np. scena posiłku w zakładzie). W ten sposób Antoine, jego przeżycia i otoczenie — zostają przedstawione różnymi metodami. Już to w sposób bezpośredni i niezwykle oszczędny, już to przez wybór typowych, syntetycznych elementów rzeczywistości, lub wreszcie poprzez stylizację i subiektywne widzenie świata oczami 13-letniego chłopca.

„400 batów“ jest niewątpliwie filmem z podtekstem. Ślady egzystencjalizmu odnajdziemy w ostatniej partii filmu — w ucieczce chłopca, jego zetknięciu z morzem — w chwili wyzwolenia. Przypomina ten moment „La strada“ — Zamano nad Błękitnym morzem. Fellini w tym momencie jednak kończy film — a Truffaut dodaje jeden tylko obraz — gwałtowne zbliżenie twarzy i unieruchomienie obrazu. Z ekranu — plakatu, patrzy twarz chłopca — wrzut i ostrzeżenie dla społeczeństwa.

A więc — realizm i psychologizm, poezja i publicystyka... Wszystkie te elementy tworzą klimat filmu, w którym atmosfera domu, szkoły, paryskich uliczek i zakładu poprawczego postębiała uczucie samotności chłopca. Piękna i przemiła twarz oraz surowsza gra młodego Jean-Pierre Leaud'a czyni postać Antoine'a niezapomnianą.

EWA NURCZYŃSKA

„Ballada o żołnierzu“



Wielki film o prostych ludzkościach — takie skrótkowe określenie nasuwa się po obejrzeniu „Ballady o żołnierzu“. Reżyser Grigorij Czuchraja dokonał dość trudnej sztuki: — zbudował studium człowieka i obraz kraju — z faktów bardzo drobnych, znanych i w zasadzie mało rewelacyjnych.

Bohaterem „Ballady“ jest 19-letni chłopak w mundurze radzieckiego żołnierza. W samotnej, rozpaczliwej walce z czołgami zdobywa się na zupełnie przypadkowe bohaterstwo. W nagrodę otrzymuje kilkudniowy urlop, aby zobaczyć się z matką. Wśród wojennego zamieszania podróż młodego Aloszy trwa dość długo.

Fabułę filmu stanowi właśnie relacja z tej podróży. Na tle dramatycznego, epickiego obrazu wojny rozegrał Czuchraja liryczną opowieść o żołnierzu i jego dwóch wielkich miłościach: do matki — i do dziewczyny.

W stosunku do wyświetlanego przed kilku laty filmu „Czterdziesty pierwszy“ — no-

we dzieło Czuchraja odznacza się głębszym, bardziej zindywidualizowanym ukazaniem psychiki bohaterów. Większość postaci ukazuje się na ekranie tylko na krótko, ale każdy z tych epizodów coś wyraża, choć podaje prawdy znanej, lecz jakże dramatycznej. Odczuwa się to i w epizodzie o żołnierzu bez nogi — w scenie o niewiernej żonie, w obrazie uchodźców z Ukrainy jadących za Ural. Iłe dramatyzmu — wydobywa Czuchraja ze spotkania na wiejskiej drodze matki z synem! Wreszcie — jak prosto i lirycznie ukazana została miłość Szury i Aloszy, krótka i niespełniona...

Czuchraja uniknął w swym dziele wszystkiego, co mogłoby zabrznieć sztucznie. Dając epicki obraz dni wojny — nie poszedł na łatwiznę deklaracyjnych, okrągłych zdań.

Twórca „Czterdziestego pierwszego“ ma szczęśliwą rękę do kompletowania obsady aktorskiej. W poprzednim filmie Czuchraja odniósł znaczny sukces artystyczny: Izolda Izwicka i Oleg

Striżenow. W „Balladzie“ Czuchraja odkrył nową parę świetnych aktorów, prawdziwych i przekonujących w każdym geście i słowie: Władimira Iwaszewa w roli Aloszy i Zannę Prochorenko jako Szurę. Oboje choć bardzo młodzi — zaskakują dojrzałym, skupionym i oszczędnym aktorstwem. Ich sukces świadczy o bardzo dobrym narybku filmowym wśród najmłodszych roczników radzieckich szkół aktorskich. „Ballada o żołnierzu“ — dzieło prawdziwe i piękne — uświadamia, że filmy Czuchraja, Kalatozowa („Lecą Żurawie“, Bondarczuka („Luszczykowie“) nie były kwestią przypadku, ale stanowią nowy rozdział w historii radzieckiego filmu.

A. NIEŚMIAŁEK

P. S. Słowa uznania należą się naszej Centrali Wynajmu Filmów za szybkie sprowadzenie i opracowanie „Ballady o żołnierzu“. Bardzo prosimy o taką operatywność również na przyszłość.

A. N.



Brigitte Bardot i Sami Frey w nowym filmie francuskim „Prawda“.

EKRANIK

BASIA KWIATKOWSKA — w obszernym artykule francuskiego magazynu „Cine-Tele-Revue“ — została porównana do takich sław, jak Audrey Hepburn i Brigitte Bardot.

Skądinąd dowiadujemy się że reżyser i producent filmu „Tysięczne okno“, gdzie Basia gra główną rolę kobietą — są bardzo zadowoleni z jej udziału. Pierwszy urczysty pokaz tego filmu ma się odbyć 27 maja, równocześnie w Warszawie i Paryżu. W związku z tym do naszej stolicy mają specjalnie przybyć reżyser Robert Menegaz i młody aktor Jean Louis Trintignant. Na premierze paryskiej wystąpią Pierre Fresnay i Kwiatkowska.

LUCYNA WINNICZKA gra tytułową rolę w adaptacji filmowej znanego opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza „Matka Joanna od Aniołów“. Reżyseruje mąż popularnej aktorki — Jerzy Kawalerowicz. Obecnie odbywają się zdjęcia plenerowe pod Łodzią, gdzie zbudowana została ogromna dekoracja klasztoru i wioski.

Wkrótce — zamieścimy

w „Mieszance“ obszerne informacje z przebiegu realizacji.

REŻ. KAZIMIERZ KUTZ (autor ambitnego „Krzyża walecznych“ — rozpocznie niebawem pracę nad filmem „Chłopiec w pociągu“, wg. znanego opowiadania Kazimierza Brandysa. Podobnie jak „Matka Joanna“ — film powstanie w zespole „Kadr“).

„PRACZKI Z PORTUGALII“ — to jedna z najbliższych premier w kinach panoramicznych (prawdopodobnie już w czerwcu). Barwna komedia francuska opowiada o rywalizacji dwóch agentów, które poszukują ładnych niewiast do reklamowania... gralek elektrycznych. W filmie reż. Pierre Gaspard Kutz gra rzeczywistości wiele pięknych aktorek. A ponadto — zobaczmy tu

także prawie u nas nie znanego, świetnego aktora komediowego — Darry Cowl'a.

Cowl — o którego filmy dopominaliśmy się już kilkakrotnie — wystąpił dotąd na polskich ekranach w niewielkim, lecz jakże kapitalnym epizodzie reżysera — w zręcznym filmie Sachy Guity „Takich dwóch jak nas trzech“.

DLA MIŁOŚNIKÓW KRYMINALÓW i mocnych wróż — CWF zapowiada premierę angielskiego filmu „O życie dziecka“. Jest to historia ocalenia 6-letniego chłopca, który zatrzasnął się w skarbcu bankowym, pozabawionym dopływu powietrza. Dramatyczna fabuła filmu osnuta została na autentycznym fakcie, podobna rzecz zdarzyła się przed kilku laty w Kanadzie.

DONALD



ŁÓDZCY AKTORZY FILMOWI

LEON NIEMCZYK

— Przede wszystkim prozę przyjąć serdeczne gratulacje z okazji zawartego przez Pana związku małżeńskiego. Czy można prosić o podanie kilku szczegółów tego wydarzenia?

— Dziękuję bardzo za życzenia. Ślub odbył się 26 kwietnia w Warszawie ponieważ mieszka tam moja małżonka.

— Czy żona też jest aktorką?

— Nie. Miała niegdyś ten zamiar, ale obecnie postanowiła zdobyć inny zawód.

— Kiedy Pan rozpoczął pracę aktora?

— Było to przed 12 laty na Wybrzeżu. Potem grałem w Bydgoszczy no i ostatecznie w Łódzkim Teatrze Powszechnym.

— W Łodzi zapewne „odkrył“ Pana nasz reżyserzy filmowi. Kto był tym „odkrywcą“?

— Reżyser Jerzy Kawalerowicz powierzył mi rolę

majora Stuposza w „Celulozie“. Potem aż do chwili obecnej grałem w 16 filmach, między innymi: w „Godzinach nadziei“, „Sprawa pilota Maresza“, „Eroice“, „Sygnalach“. Krytycy dostępnego mi w „Bazie ludzi umarłych“ reż. Petelskiego gdzie grałem rolę Dziewiątki, oraz w „Pociągu“ reż. Kawalerowicza.

— Często mówi się o różnicach w grze na scenie i w filmie. Na przykład Gustaw Holoubek jest zdania, że zasadniczym elementem pracy aktora filmowego jest konieczność wyobrażenia sobie, że nikt go nie widzi i nie słyszy. Aktor filmowy grając przed martwym okiem kamery, a nie przed żywym widzem — nie może zapomnieć o braku bezpośrednio reagującego odbiorcy, w przeciwnym razie staje się przesadnym, nieprawdziwym. Jakie jest Pana zdanie na ten temat?

— Całkowicie zgadzam się z tą wypowiedzią. Chciałbym

dodać, że praca w filmie, wbrew niektórym opiniom, — rozwija aktora. Aktor przed kamerą nie może sobie pozwolić na żadną łatwiznę — obiektywnie i tasma filmowa rejestrują o wiele więcej szczegółów, niż oko widza np. z dziesiątego rzędu w teatrze. Istotną rzeczą jest fotogeniczność aktora filmowego. Nie chodzi mi o typową „urode amanta“ — ale o fotogeniczność w rodzaju Jean Gabina czy wspomnianego Gustawa Holoubka.

— W jakich filmach wkrótce zobaczymy Pana?

— W lipcu w dwuseryjnym filmie reż. Aleksandra Forda „Krzyżacy“. Gram tam błędnego rycerza de Lorche'a. Niedawno otrzymałem nowe propozycje: w filmie reż. Brzozowskiego „Biały szlak“, oraz w „Szczęściarzu Antonim“ który będzie realizował reż. Haupe.

Nie jednak pewnego na razie nie mogę powiedzieć, ponieważ jestem dopiero po zdjęciach próbnych i wstępnych rozmowach.

— A w Teatrze Powszechnym?

— Widzowie będą mogli mnie zobaczyć w „Młynie“ Lope de Vegi. Jest to już moja druga rola w komediach tego autora, poprzednią był „Nauczyciel tańca“.

— Jakże ma Pan prywatne zamierzenia?

— Uzyskanie mieszkania w Łodzi, sprowadzenie żony z Warszawy, oraz wakacje we dwoje. Czy wszystko się tak spełni jak pragnę — nie wiem...

Rozmawiał: Al. N.